

Wojciech Świętosławski

Wspomnienia

Niepodległość i Pamięć 5/4 (13), 341-377

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wojciech Świętosławski

Wspomnienia

Świętosławski Alojzy Wojciech (1881-1968), wybitny fizykochemik polski, twórca szkoły naukowej, członek honorowy wielu zagranicznych towarzystw naukowych, dr h.c. siedmiu uczelni, w latach 1935-39 minister WRiOP i senator.

Urodził się 21 czerwca 1881 r. w majątku rodzinnym Kiryjówka na Wołyniu jako syn Waclawa i Anieli z Rogozińskich. W 1899 r. ukończył klasyczne gimnazjum, a w 1906 r. Wydział Chemiczny Politechniki w Kijowie. Jako student należał do postępowej Korporacji Studentów Polaków, w 1907 r. podczas odbywania służby wojskowej był współredaktorem polskiego tygodnika „Świat”. W latach 1908-10 był asystentem Politechniki w Kijowie, a w latach 1911-1918 kierował Laboratorium Termochemicznym im. Ługinina na Uniwersytecie Moskiewskim, od 1913 r. jako docent. W 1917 r. doktoryzował się na Uniwersytecie Kijowskim po przedstawieniu rozprawy z dziedziny termochemii związków dwufazowych. W okresie pracy na Uniwersytecie Moskiewskim uzyskał uznanie w świecie dzięki swym pracom nad efektami cieplnymi reakcji związków azotu oraz udoskonaleniom techniki pomiarowej i aparatury stosowanej w kalorymetrii. W okresie I wojny brał udział w nauczaniu chemii i fizyki w szkołach dla uchodźców polskich przebywających w Moskwie, a po rewolucji bolszewickiej jako wiceprezes Polskiego Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny walnie przyczynił się do repatriacji młodzieży i nauczycieli 5 szkół średnich i 15 podstawowych.

W czerwcu 1917 r. Świętosławski przybył do Warszawy na czele delegacji mającej zorganizować repatriację. W tymże roku objął Katedrę Chemii Fizycznej na Politechnice Warszawskiej, początkowo jako profesor nadzwyczajny, a od czerwca 1919 r. zwyczajny i kierował nią do 1939 r. Do 1929 r. wykładał również chemię fizyczną dla studentów Uniwersytetu Warszawskiego. W 1927 r. na propozycję prof. Ignacego Mościckiego, podówczas już Prezydenta RP, zorganizował Dział Węglowy w Chemicznym Instytucie Badawczym, którego założycielem był Mościcki, w nowej siedzibie ChIB w Warszawie na Żoliborzu. Świętosławski rozwijał badania podstawowe w dziedzinie termochemii, kalorymetrii, równowag fazowych, zjawisk krytycznych i stosowane nad fizykochemią węgla kamiennego i procesów koksowania. Zapoczątkował i rozwinął nowe techniki pomiarowe, a w szczególności ebulliometrię (precyzyjne pomiary temperatur wrzenia) i mikrokalorymetrię (pomiary znikomych efektów cieplnych) - o szerokich zastosowaniach w fizyce i chemii, a jego ebulliometry znalazły się w czołowych światowych instytutach metrologicznych.



Zdjęcie wykonane z okazji jubileuszu XXX lat pracy naukowej. „Roczniki chemii: t. 18 (1938)

Na Politechnice Warszawskiej pełnił Świętosławski godności dziekana 1919/1920 i 1924/1925, rektora 1928/1929 i prorektora 1929-1932. W 1935 r. (5 XII) został powołany na ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Będąc przeciwnikiem ograniczenia autonomii uczelni wyższych przez ustawę z 1933 r. zainicjował wiosną 1936 r. utworzenie przez towarzystwa naukowe, niezależnej od administracji państwowej Rady Nauk Ścisłych i Stosowanych ze specjalistycznymi komitetami. W lutym 1937 r. doprowadził do nowelizacji ustawy z 1933 r. przywracającej autonomię uczelniom, podwoił także liczbę nominacji

profesorskich, przyczyniając się do powołania na te stanowiska młodych uczonych.

Po wybuchu wojny Świątosławski znalazł się wraz z rządem w Rumunii i został internowany. W marcu 1940 r. dzięki pomocy National Bureau of Standards w Waszyngtonie przedostał się do USA, gdzie początkowo wykładał na Uniwersytetach w Pittsburg'u i Iowa City, a od lutego 1941 r. do 1946 r. był „senior fellow” w Instytucie Mellona w Pittsburg'u. W tym okresie rozwiązał szereg problemów technicznych dla firmy Koopers - związanych głównie z przeobrażeniem smoły węglowej - uzyskując 8 patentów. W okresie pobytu w USA opracował też 4 monografie w języku angielskim, związane z jego wcześniejszymi pracami w Polsce, a także opracował nowe typy kriometrów do precyzyjnych pomiarów temperatur krzepnięcia.

Jesienią 1946 r. (7 XI) powrócił do Warszawy i początkowo wykładał chemię fizyczną stosowaną na Politechnice Warszawskiej, a w 1947 r., z początkiem roku akademickiego objął Katedrę Chemii Fizycznej na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1955 r. był również pierwszym dyrektorem Instytutu Chemii Fizycznej PAN. Równoległe od 1947 r. kierował Zakładem Fizykochemicznym w instytucie chemicznym na Żoliborzu w Warszawie (IPCh, GICHP, IChO). Prace zespołów kierowanych przez Świątosławskiego w latach 1947-1960 obejmowały zarówno zagadnienia podstawowe dotyczące procesów rozdziału substancji chemicznych - zjawiska azeotropii, poliazeotropii, euteksji, polieutektyków, jak procesów technologicznych związanych z rozdziałem i wykorzystaniem składników smoły węglowej i innych surowców organicznych.

Publikowany dorobek naukowy Świątosławskiego obejmuje pierwszy 4-tomowy podręcznik chemii fizycznej w języku polskim, kilkanaście monografii specjalistycznych przekładanych również na języki obce, 380 publikacji specjalistycznych w czasopismach naukowych, w tym 200 ze współpracownikami, 46 uzyskanych patentów, oraz ponad 50 wypowiedzi w sprawach społecznych, pedagogicznych, gospodarczych i innych. Jako pedagog był znakomitym wychowawcą, a jednocześnie przyjacielem młodzieży. Z jego szkoły naukowej wyszło ponad 20 profesorów, 100 doktorantów i kilkuset magistrów.

Świątosławski sprawował wysokie godności naukowe i cieszył się wielkim uznaniem w kraju i zagranicą - od 1923 r. był członkiem PAU (od 1927 czynnym), od 1952 członkiem rzeczywistym PAN, członkiem założycielem Polskiego Towarzystwa Chemicznego, jego prezesem, a następnie członkiem honorowym, wiceprezesem Międzynarodowej Unii Chemii Czystej i Stosowanej (IUPAC) 1928-1932 i 1934-1940; w pracach Unii brał stale udział od 1922 r. jako członek i przewodniczący komisji. Doktoraty honorowe nadały mu w kraju: Uniwersytet Jagielloński, Politechniki Warszawska i Łódzka, a zagranicą: Uniwersytet w Bukareszcie, Uniwersytet w Moskwie, Uniwersytet Humboldta w Berlinie, Politechniki w Dreźnie i w Budapeszcie; został członkiem honorowym kilkunastu towarzystw naukowych zagranicą. Świątosławski otrzymał też wiele odznaczeń krajowych i zagranicznych: w tym Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta (1928) i ponownie to odznaczenie (1954) oraz Order Sztandaru Pracy (I klasy).

Przeszedł na emeryturę w 1960 r. Zmarł 29 kwietnia 1968 r. i został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Al. Zasłużonych. Był żonaty z Marią Olszewską (1881-1959), z którą miał córkę - Janinę (I v. Ścisławską) - II v. Żółkiewską (prof. fizyki).

Poniższy tekst stanowi drugą część wspomnień profesora Wojciecha Świętosławskiego, które były nagrywane na taśmę magnetofonową w latach 1956-1957, a następnie przepisywane na maszynie przez sekretarkę. Tekst nie był nigdzie publikowany i jest własnością córki profesora - Janiny Świętosławskiej-Żółkiewskiej. Pierwsza część wspomnień Wojciecha Świętosławskiego obejmująca notatki - sporządzone na bieżąco ze spotkań w latach 1929-1935 z profesorem Ignacym Mościckim-prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej, została zdeponowana w Muzeum Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku i została częściowo opublikowana.

Prof. dr hab. Kazimierz Zięborak
Instytut Chemii Przemysłowej
im. Prof. Ignacego Mościckiego

Piłsudski i jego premierzy

Do dnia dzisiejszego (sierpień 1957 r.) ogłoszono drukiem tyle wzmianek i złośliwych, przeważnie bardzo powierzchownych, sądów o poszczególnych rządach w okresie międzywojennym, że wydaje się i celowym, i koniecznym powrócić raz jeszcze do tego tematu, z tym aby usiłować w granicach możliwości, w sposób najbardziej obiektywny scharakteryzować i ludzi, i powody postępowania, co pozwoli w perspektywie lat kilkudziesięciu wiele zagadnień zrozumieć i obiektywniej je naświetlić.

Rządzenie krajem, który po długim okresie rozczłonkowania został zjednoczony, nie było łatwe tym bardziej, że społeczeństwo nie posiadało kadry wyrobionych polityków. To też dowolny zespół, zarówno przed jak i po przewrocie majowym, należy uważać za grupę ludzi, próbujących swych sił i zdolności w rządzeniu krajem o niejednolitej strukturze gospodarczej, kulturalnej i w znacznym stopniu narodowościowej.

Traktat Wersalski wprowadził sztuczny twór - Wolne Miasto Gdańsk - oraz korytarz do morza, bez żadnych gwarancji utrzymania granic zachodnich Polski. Traktat zaś Ryski niejako z góry narzucał niepewność granicy wschodniej. Antysemityzm, panujący na ziemiach Wielkopolski, wykluczał migrację Żydów z innych dzielnic Polski na zachód. Ruch narodowościowy w Małopolsce Wschodniej rozszerzał się z roku na rok na tereny zaludnione przez Ukraińców, Białorusinów i mieszaną, ale nie polską ludność Polesia. Potrzeba nam było wytrawnych polityków, ekonomistów i dyplomatów wówczas, gdy Polska ich nie miała i mieć nie mogła. Wielkie dwa mocarstwa sąsiadujące z nami od Wschodu i Zachodu

oczekiwały na pierwszą sposobność, aby ziemie nasze odebrać, a znaczenie Polski, jako kraju niezależnego, sprowadzić do minimum.

Jak zwykle w dziejach Polski ludność przejawiała swój wielki - niespotykany w innych krajach - patriotyzm, wywołując powstanie w Wielkopolsce i na Śląsku oraz w walce o Małopolskę Wschodnią i następnie w obronie Polski przed wschodnim naszym sąsiadem. Naród nasz przejawia zawsze maksimum poświęcenia i jedności całego narodu, lub przynajmniej zwartych mas na danej połaci kraju, jest jednak o wiele mniej zdolny od wytrwałego codziennego wysiłku w walce o zdrowy rozwój ekonomiczny, gospodarczy, kulturalny, związany zawsze z wielce systematyczną, codzienną pracą, ciągnącą się przez całe życie następujących po sobie pokoleń. Zwycięstwo Polski w r. 1920 nad niezorganizowanym jeszcze Związkiem Radzieckim było wielkim sukcesem narodu, jednocześnie jednakże było powodem stałego niedoceniań szybkiej regeneracji sił wielkiego naszego sąsiada, który w zasadzie uważał za swą, dziejami narzuconą, rolę rozszerzanie swego wpływu i narzucanie systemu rewolucyjnego wszystkim narodom świata, z najbliższymi swymi sąsiadami na czele. Dążenie do realizowania tego, co się uważało i uważa dotychczas w ZSRR za posłannictwo dziejowe, wytwarzało w naszym kraju sytuację polityczną praktycznie nie do rozwiązania.

Jest rzeczą bezcelową zadawać sobie pytanie i próbować dać na nie odpowiedź, czy losy historyczne Polski mogłyby być zmienione, gdyby w chwili odrodzenia się w roku 1918 Polska mogła rozporządzać liczną grupą wytrwałych mężów stanu i polityków, znających do głębi wszystkie najlepsze sposoby właściwego rządzenia krajem będącym w tak trudnej sytuacji zarówno politycznej jak i gospodarczo-ekonomicznej, o przestarzałym systemie rozwoju przemysłu i rolnictwa.

Gdy rozważamy ten stan rzeczy nasuwa się też pytanie, czy Józef Piłsudski był tym mężem stanu i kierownikiem sił zbrojnych, który w ówczesnych warunkach powinien być uważany za człowieka niezastąpionego. Autorowi tych wspomnień wydaje się, że należy dać na to odpowiedź twierdzącą, mimo wielu cech charakteru Piłsudskiego, które doprowadzały go do wystąpień w zdecydowany sposób szkodzących Polsce w opinii świata cywilizowanego. Charakter Piłsudskiego uniemożliwiał mu takie posługiwanie się posiadanymi uprawnieniami czy to naczelnika państwa i naczelnego wodza sił zbrojnych, czy też po roku 1926 autorytetem najwybitniejszego w Polsce męża stanu, które by nie wywoływało wzruszenia ramionami, uśmiechu ironii lub ostrej oceny negatywnej u tych polityków zachodnich, którzy znali lub przynajmniej podejrzewali nas o brak tych wszystkich elementów, które decydują o szybko wzrastającej mocy świeżo odrodzonego państwa.

Autor tych wspomnień przebywał w okresie od marca 1940 do października 1946 roku w Stanach Zjednoczonych. O tym kraju, liczącym zaledwie pięć do sześciu pokoleń ludzi wyrosłych w warunkach całkowitej niepodległości, kraju charakteryzującym się konstytucją - jak na nasze czasy - przestarzałą, urobiona jest i u nas i w innych krajach opinia, nie zupełnie odpowiadająca rzeczywistości. W okresie drugiej wojny światowej, zwłaszcza po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny przeciwko osi niemiecko-włoskiej oraz przeciwko Japonii, opinia publiczna, zwłaszcza kół konserwatywnych, wysuwała

zarzuty zbyt daleko idącego popierania przez Roosevelta Związku Radzieckiego. Napaści na prezydenta USA w licznych przypadkach były podobne do tych, które były przez koła konserwatywne kierowane były przeciwko Piłsudskiemu. Był to czas, kiedy przypuszczano, że Piłsudski rozwijać będzie politykę wybitnie radykalną i rewolucyjną. Nie rozumiano, że wszelkie kroki, zmierzające do radykalizacji naszego życia gospodarczego i ekonomicznego będą czerwoną płachtą dla dzielnic zachodnich kraju. Ten argument na pewno wywierał wpływ na Piłsudskiego i powstrzymywał go od tego, co osobiście uważałby za racjonalne i wskazane. Ale sposoby reagowania Roosevelta i Piłsudskiego na wszelkie zarzuty i ostre napady w prasie i wypowiedziach prywatnych licznych konserwatywnych działaczy politycznych różniły się radykalnie od siebie. Mając zorganizowaną, bardzo silną opozycję, Roosevelt, którego wady zarysowały się w mej świadomości bardzo wyraźnie, umiał rozgrywać po mistrzowsku sytuację, przy zachowaniu wszystkich norm prawnych i swych własnych uprawnień. Enuncjacje Piłsudskiego, a także drastyczne posunięcia, łamiące prawo i drażniące w wysokim stopniu elitę polskiego społeczeństwa, wywoływały w krajach zachodnich wpływ wybitnie ujemny. Piłsudski nie przestał być uosobieniem zalet, ale także i wad sfery, z której pochodził.

Izolowanie się od stykania się zarówno ze swoimi przyjaciółmi, jak i z wrogami, brak częstych, jasnych wypowiedzi, pozbawionych wszelkich drastycznych cech, mimo jego woli zniechęcało nawet tych, którzy byli najbardziej oddani, chociaż do kliki pułkownikowskiej nie należeli.

Działacz społeczny i polityk, zwłaszcza dzierżący władzę w swym ręku, powinien być otoczony doradcami i ekspertami, szczególnie powinien utrzymywać kontakt z ludźmi najrozmaitszych poglądów i rozmawiając z nimi, umieć wysłuchiwać zdań i opinii jak najbardziej różnorodnych, gdyż na tej podstawie poznaje się możliwe złe skutki swych własnych posunięć i działań, zanim dane zarządzenie zostanie wydane.

W czasie gdy stykałem się z ludźmi wybitnymi - zwłaszcza powołanymi do pełnienia odpowiedzialnych funkcji rządu - przekonałem się, że Polacy, bardziej niż inni, ustosunkowują się niechętnie do zarządzeń tych, którzy mają inne poglądy lub inaczej patrzą na sposób załatwienia sprawy.

Podczas mego pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej miałem możliwość obserwowania, w jaki sposób Roosevelt rozwiązywał niezmiernie trudne zagadnienia, których niepomysłne załatwienie mogło grozić przegraniem przez aliantów drugiej wojny światowej. Niżej podaję krótki opis takiego wydarzenia.

W czasie walk w Hiszpanii Johnson, senator, czy też członek izby reprezentantów (izba niższa) doprowadził do uchwalenia przez obie izby prawa, zwanego jego imieniem. Mocą tego prawa Stany Zjednoczone mogły sprzedawać broń każdemu, kto płacił za nią gotówką (i to w złocie lub dolarach amerykańskich). W chwili wybuchu drugiej wojny światowej przepis ten stwarzał warunki uniemożliwiające prowadzenie wojny przez Wielką Brytanię i zwłaszcza przez Francję. Żadne bowiem państwo nie jest w możności opłacać zawrotnie wielkich sum w złocie lub w obcej, niezdevaluowanej walucie dla pokrycia wszystkich kosztów wojny, zwłaszcza zaś kosztów zbrojenia. W krótkim więc czasie po rozpoczęciu skromnych nawet działań wojennych na froncie zachodnim stało się ja-

sne, że utrzymanie prawa Johnsona prowadzi do niewypłacalności państw walczących w Hitlerem.

Izolacjonistyczne poglądy w U.S.A. były tak dalece zakorzenione i opozycja w obu izbach skierowana przeciwko F.D. Rooseveltowi tak wielka, że wystąpienie z wnioskiem radykalnej zmiany prawa Johnsona, ujmowanego w krótkim sformułowaniu „cash and carry” - „płać (gotówką) i zabieraj (broń)”, było wprost niemożliwe do pomyślenia, a tym bardziej do pomyślnego zrealizowania.

Wkrótce po przyjeździe do USA zapoznałem się z groźnym stanem całej sprawy niesienia pomocy (państwowi wojującym z Hitlerem) przez rząd Stanów Zjednoczonych i zdawało mi się, że nie ma wyjścia z tej groźnej sytuacji. Pewnego jednak dnia pisma podały wiadomość, że prezydent Roosevelt wyjechał statkiem na przejażdżkę po rzece Potomac (rzeka ta oddziela stolicę Washington od stanu Wirginia). Podkreślano, że wyjazd związany jest z koniecznością odpoczynku Prezydenta, przeciążonego pracą do ostatnich granic wytrzymałości. Jednakże następne komunikaty prasowe powiadały, że Roosevelta odwiedzają coraz to inne osoby, pełniące różne odpowiedzialne funkcje zarówno w Białym Domu, jak też w rządzie i poza nim.

Sprawa wyjaśniła się wkrótce po powrocie Roosevelta. Okazało się, że w celu dopomożenia państwowi w ich walce o demokrację prezydent USA wnosi projekt nowej ustawy, nadającej mu prawo udzielania daleko idącej pomocy krajom walczącym w Hitlerem, bez potrzeby uzyskiwania aprobaty Kongresu Stanów Zjednoczonych. Szkic tej ustawy był dyskutowany właśnie w czasie „wypoczynkowej” wycieczki Prezydenta po rzece Potomac.

Rozwiązanie znalezione przez Roosevelta może być uważane za klasyczny sposób walki z izbami ustawodawczymi, które w najmniej do tego odpowiednich chwilach dzisiejszych walczą o swoje uprawnienia i prowadzą zazdrosną, często nawet złośliwą i szkodliwą walkę o niedopuszczenie do szybkich koniecznych posunięć rządu, mającego zazwyczaj poufne informacje o sytuacji militarnej, których nie może podać do wiadomości publicznej chociażby dlatego, że są to sprawy poufne rządów zaprzyjaźnionych. Parlamentaryzm zawodzi w takich przypadkach właśnie dlatego, że rząd informowany we właściwym czasie o sytuacji międzynarodowej - zwłaszcza w okresach wojen lub wielkiego napięcia w stosunkach między państwami - nie może przekazywać swych wiadomości tak licznemu ciału ustawodawczemu jak senat i zgromadzenie narodowe. Wytwarza się więc sytuacja taka, że izby ustawodawcze orzekają na podstawie znajomości wypadków politycznych wcześniejszych, wówczas gdy w rzeczywistości sytuacja polityczna już się zmieniła i wymaga innych rozstrzygnięć niż te, które w mniemaniu członków parlamentu powinny być przedsięwzięte.

Nadanie prezydentowi Rooseveltowi nowych pełnomocnictw i klasyczny przykład obejścia prawa Johnsona rozstrzygnęły losy wojny. Nie mogły one uratować Francji przed wypadkami r. 1940, gdyż nadanie szerokich uprawnień Prezydentowi USA i szefowi rządu w jednej osobie przyszło zbyt późno.

Uprawnienia udzielania wszelkiej pomocy krajom walczącym z hitleryzmem miały bardzo ważne znaczenie dla Stanów Zjednoczonych. W ten sposób rząd USA mógł zyskać na czasie, aby przestawić wielką liczbę fabryk i wytwórni na produkowanie wszelkiego rodzaju sprzętu wojennego i materiałów wojennych.

Okres ten był również potrzebny na to, aby znacznie ulepszyć jakość produkowanych typów sprzętu wojennego, gdyż pierwsze nowe modele tanków, armat i nawet okrętów transportowych pozostawiały wiele do życzenia.

Dość obszernie pozwoliłem sobie wyjaśnić metody stosowane przez Roosevelta w walce z zachłannością Kongresu USA, aby przedstawić zasadnicze różnice metod stosowanych przez amerykańskiego męża stanu i J. Piłsudskiego. Mimo całej sympatii, jaką żywiłem dla Piłsudskiego widziałem jego wady, zwłaszcza zaś te brutalne formy, jakie stosował w głębokim przekonaniu, że takie właśnie postępowanie jest właściwe czy to w polityce w ogóle, czy też w polityce dostosowanej do osobliwych cech i wad narodu polskiego.

W mniemaniu Piłsudskiego i wielu jego zwolenników takie metody stosowane przez najwybitniejszą jednostkę w ówczesnej Polsce były najwłaściwszym sposobem wychowania narodu. Nigdy nie godziłem się z tym punktem widzenia, czemu dałem wyraz, biorąc udział w redakcji i kładąc swój podpis pod oświadczeniem grupy profesorów w sprawie Brzeskiej. Wydawało mi się również i wydaje mi się obecnie, że postępowanie Piłsudskiego zarówno, gdy chodziło o sprawę Brzeską, jak też o gromadną demonstrację wojskowych w Sejmie wczesną jesienią r. 1926*, nie powiększało autorytetu rządu i całego narodu polskiego. Metody te wskazywały raczej na to, że w wieku XX-ym odradzają się tradycje uprawiane w wiekach dawniejszych przez szlachtę.

Aby nie powracać do sprawy przypadkowego osobistego spotkania i rozmowy z Piłsudskim, że któregoś wieczoru po przewrocie majowym zaproszony zostałem przez prof. Sujkowskiego do odwiedzenia go wieczorem w domu przy ulicy Koszykowej 70, ponieważ dnia tego zapowiedział Sujkowskiemu swe odwiedziny Marszałek Piłsudski.

Nie wiem czy inicjatywa zaproszenia mnie na ten wieczór wyszła od prof. Sujkowskiego, czy też od Piłsudskiego. Wątpię, aby moja obecność nie była uzgodniona zawczasu z Piłsudskim.

Rozmowa przeciągnęła się do godziny trzeciej rano. Jednakże nikt z nas z wyjątkiem Piłsudskiego nie zabierał głosu dłużej aniżeli parę minut. Było też jasne, że nie chodziło o jakiegokolwiek wypowiedzi osób zaproszonych, zresztą nie pamiętam kto był obecny prócz najbliższej rodziny prof. Sujkowskiego i otoczenia Piłsudskiego. W każdym razie nie zaproszeni, lecz Piłsudski wypowiadał się w sprawach, mających raczej związek z jego własnymi przeżyciami, związanymi z operacjami wyzwolenia Lwowa i w ogóle Małopolski Wschodniej. Dość wiele mówił Piłsudski o rabowaniu mienia państwowego przez ówczesną słabo zorganizowaną „armię”, utworzoną przez niedoświadczonych wojskowo ochotników. Wspominał Piłsudski nawet o niemal nagminnym obcinaniu pasków skóry, służących w drugiej klasie do podnoszenia i opuszczania okien. Mówił też o swych własnych upodobaniach i przyzwyczajeniach życia codziennego. Najwidoczniej więc chodziło mu wówczas raczej o spędzenie kilku godzin w domu swego bliskiego przyjaciela. Obecności paru osób postronnych nie przypisywał żadnego znaczenia. Nie oczekiwał też jakiegoś naświetlenia tego lub innego zjawiska społecznego od obecnych.

* Błąd autora, winno być - 1928 r. [red].

Drugie moje widzenie z Piłsudskim przypadło w dniu obchodu trzydziestolecia pracy naukowej prezydenta prof. Ignacego Mościckiego. Było to w roku 1934. Uroczystość obchodu jubileuszowego miała się odbyć w godzinach wieczornych w auli Politechniki Warszawskiej. Przed tym zaś, o godz. 17-ej, Marszałek Piłsudski zaprosił do Belwederu prezydenta Mościckiego, najbliższą jego rodzinę i kilka osób, które obchód organizowały. O ile pamiętam zaproszony był profesor elektrotechniki Kazimierz Drewnowski oraz ja, jako przewodniczący komitetu, organizującego obchód.

Zwróciłem wówczas uwagę na zachowanie ceremoniału. Byliśmy mianowicie zebrani w salonie i w pewnym momencie jednocześnie otwarto drzwi z dwóch stron tak, aby prezydent Mościcki i Marszałek Piłsudski mogli wejść, nie uprzedzając jeden drugiego. Zapewne ceremoniał ten miał podkreślić jednakową wysokość urzędów piastowanych przez obu dostojników Państwa Polskiego. Lampka wina nie trwała dłużej, aniżeli 20-30 minut, miała oczywiście charakter wyłącznie towarzyskiego spotkania, to też oprócz życzeń żadnej poważniejszej rozmowy nie podejmowano.

Spotkania więc moje z Piłsudskim nie dawały żadnych podstaw do wysnuwania wniosków o charakterze tego wybitnego człowieka. Jedynie w czasie rozmowy w mieszkaniu Sujkowskiego można było zauważyć bardzo wyraźnie zaznaczony egocentryzm Piłsudskiego. Nie było to nic nowego, publiczne wystąpienia Piłsudskiego stwierdzały istnienie tego egocentryzmu w znacznie większym stopniu, niż w prywatnej rozmowie. Zresztą jest to cecha tak często spotykana u Polaków w ogóle, jak również u wybitnych działaczy politycznych i społecznych wszelkich narodowości, że dziwić się temu nie trzeba, że była ona właściwością Piłsudskiego, który w wielu dziedzinach przewyższał swe otoczenie, jak również i wybitnych działaczy politycznych.

Znacznie gorzej rzecz się przedstawiała, gdy chodziło o tych, których Piłsudski wybierał do kierowania pracą Rady Ministrów. Obecnie (1957 r.), po upływie stosunkowo długiego czasu, nie podobna zrozumieć motywów, którymi kierował się Piłsudski przy wyborze kandydatów na prezesów Rady Ministrów. O ile pamiętam było ich kolejno 5-ciu: K. Bartel, K. Świtalski, L. Kozłowski, A. Prystor, St. Jędrzejewicz*.

Nie jest moim zamiarem wypowiedanie opinii o wadach i zaletach wyżej wymienionych. Niewątpliwie najwybitniejszym wśród nich był Bartel. Człowiek o nieskazitelnej opinii, pełen najlepszych chęci służenia Ojczyźnie, miał więcej zalet, niż wad. Cechowała go porywczność, brak taktu i to, że był lepszym polemistą, aniżeli mężem stanu o szerokim horyzoncie w rozumieniu zagadnień polityki międzynarodowej, zwłaszcza zaś sytuacji zagrażających Polsce i jej żywotnym interesom. Cechy te jednak były właściwe nie tylko Bartłowi, ale szerokim sferom inteligencji, która w krótkim czasie nie mogła wyłonić kadry jednostek rządzących, należycie pojmujących przeszkody hamujące wszechstronny rozwój państwa Polskiego lub też niebezpieczeństwa grożące w niedalekiej przyszłości. Możliwe też, że Bartel rozmyślnie nie ujawniał swych istotnych poglą-

* Winno być - Janusz Jędrzejewicz [red.].

dów, rozumując, że lepiej milczeć, niż odbierać wiarę w możliwość przeciwdziałania siłom zewnętrznym.

Najmniej zrozumiałym był wybór prof. Kozłowskiego na stanowisko prezesa Rady Ministrów. Nie mogłem nigdy zrozumieć jakim sposobem doszło do tej niefortunnej decyzji powołania na szefa rządu człowieka nie zrównoważonego i pozbawionego wszystkich cech męża stanu i polityka. O wartości moralnej tego człowieka świadczyć może jego decyzja szukania schronienia w r. 1939 w hitlerowskich Niemczech.

Nie mniej dziwnym były kandydatury naiwnego A. Prystora, sprytnego i ambitnego Jędrzejewicza oraz nieobliczalnego w swych decyzjach Świtalskiego.

Żaden z nich nie dorósł do piastowanego urzędu i postępowaniem swoim więcej przynosił Polsce szkody, aniżeli pożytku.

Pisząc te słowa, zadaję sobie pytanie, czy mam obiektywne dane, aby oceniać negatywnie tych, których wybierał Piłsudski na najbardziej odpowiedzialne stanowiska w Państwie.

Najmniej szkodliwym był zapewne Prystor. Być może miał on możliwość najczęstszego porozumiewania się z Piłsudskim i dlatego nie wstawił się zarządzeniami, które by jaskrawo negatywnie uwypukliły jego urzędowanie w roli prezesa rady ministrów.

Osobiste moje zetknięcia się ze Świtalskim pozostawiły mi na całe życie nie miłe wspomnienia. Było to w roku akademickim 1928/29, kiedy byłem rektorem Politechniki Warszawskiej. Ponieważ w tym czasie młodzież nastrojona opozycyjnie burzyła się i chciała organizować wielkie wystąpienia protestacyjne na ulicach Warszawy, rektorzy Uniwersytetu i Politechniki Warszawskiej usiłowali nie dopuścić do tych demonstracji. Odwiedziliśmy wówczas Świtalskiego premiera i z jego mglistych wypowiedzi wywnioskowaliśmy bez żadnych wątpliwości, że Świtalski chce skorzystać z okazji, aby w sposób nie przebiegający w środkach zadać cios młodzieży narodowo-demokratycznej.

Po rozmowie ze Świtalskim, udaliśmy się o godz. 21-ej do ówczesnego ministra Oświaty, Czerwińskiego. Bez ogródek przedstawiliśmy mu otwarcie całą sprawę i podkreśliliśmy, że nie ma takiego rektora, któryby się godził na wciągnięcie młodzieży opozycyjnej do zasadzki, aby załatwić w ten sposób porachunki z narodową demokracją. Oświadczyliśmy, że mimo spóźnionej pory, poczynimy wszystko, co od nas zależy, aby nie dopuścić do gwałtów rozmyślnie projektowanych przez prezesa Rady Ministrów. Czerwiński pokrył milczeniem nasze oświadczenie, było jednak widoczne, że podziela nasz punkt widzenia, a nie szefa rządu.

Rektor G. Przychocki był w stanie takiego załamania psychicznego i fizycznego, że uważałem za pożyteczne namówić go na wyjazd do Krakowa na doroczne walne posiedzenie Polskiej Akademii Umiejętności. Wyjazd Przychockiego uważałem za celowy z tego względu, że ówczesnym prorektorem, a więc zastępcą Przychockiego był biskup Szlagowski, cieszący się zaufaniem młodzieży narodowo-demokratycznej, sądziłem więc, znając obok krasomówstwa Szlagowskiego jego bierność, gdy chodzi o energiczne działanie, że uda się użyć jego wpływu, gdy nie odważy się brać na siebie odpowiedzialności za skutki wystąpienia młodzieży poza murami uczelni. Umówiwszy się, że biskup Szla-

gowski przemówi do młodzieży w auli lub na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego, zwróciłem się zarówno do prawicowych jak też lewicowych przedstawicieli studentów, aby w nocy w moim prywatnym mieszkaniu odbyły się dwa posiedzenia, każdego z odłamów młodzieżowych osobno, w celu omówienia sytuacji.

Stosunkowo łatwo doszedłem do porozumienia z prawicową i lewicową organizacją młodzieży, że nie wyjdą na ulicę i w obrębie dziedzińca uniwersyteckiego uchwalą rezolucję. Tak też się stało w istocie. Przygotowania Świtalskiego do drastycznego potraktowania studentów na ulicach Warszawy spełżyły na niczym.

Sprawy tej nie poruszaliśmy później ani z premierem, ani z ministrem oświaty Czerwińskim. Na zewnątrz wyglądało tak, jak gdyby rząd nie miał na celu dokonania rozgrywki z narodowo-demokratycznym odłamem młodzieży i uszanował autonomię szkoły akademickiej, nie wprowadzając policji na terytorium Uniwersytetu i Politechniki.

Jędrzejewicz i jego brat Waclaw rozwinęli bardzo energiczną akcję, która moim zdaniem przyniosła więcej szkody niż pożytku. Byli oni, wespół z innymi, przedstawicielami ówczesnego kierunku narzucania nowej teorii, którą możnaby nazwać teorią „czynów państwowo-twórczych”. Ktoś ze współczesnych lub następnych badaczy omawianego okresu powinien by poddać szczegółowej - na źródłach opartej - krytyce rozwijany kierunek pracy państwowo-twórczej. O ile mogę go ocenić, miał on w swej podstawie założenie pozyskania do pracy tej, nie tylko Polaków, ale również mniejszości narodowe. Zresztą próby nawrotu do „idei Jagiellońskiej”, opartej na daleko posuniętej chęci szczerej asymilacji wszystkich mniejszości narodowych, mógłby być uważany za zdrowy i słuszny, gdyby usiłowania te mogły liczyć na jakiegokolwiek powodzenie. Od bardzo dawna, nie tylko na terenie Polski, ale również poza jej granicami, zaczął się szerzyć ruch nacjonalistyczny i ultranacjonalistyczny. Grupa narodowościowa, która liczbowo zaliczała się do rdzennej i większościowej (?), narastanie nacjonalizmu związane było z odpowiednią, wciąż wzrastającą reakcją grup mniejszości narodowych. W wyniku tych sprzecznych uczuć budził się coraz to większy antagonizm pomiędzy większością a mniejszością narodową. Wyraz państwowo-twórczy miał określić kierunek, zmierzający do zahamowania narastania niechęci i antagonizmów narodowych. W zaraniu odrodzenia Polski niepodległej mieliśmy się poważnie liczyć z narastającym nacjonalizmem ukraińskim, żydowskim, litewskim, białoruskim i niemieckim. Zarządzenia administracyjne usiływały zapewnić pewne przywileje ludności polskiej. Budziło to antagonizm narodowy w mniejszościach.

Ani wyraz „państwowo-twórczy”, ani realizowanie go w praktyce przez licznych zwolenników tego kierunku, z dużym aktywnym udziałem braci Jędrzejewiczów, nie doprowadziły i nie mogły doprowadzić do wyników pożądanых dla polskiej racji stanu. Działanie wpływów zewnętrznych, które niewątpliwie istniały i przybierały z czasem na sile, doprowadziły nawet do słynnego przemówienia Marszałka Piłsudskiego na temat obcych agentur przejawiających swą działalność wszędzie, gdzie się tylko dało.

Akcja Jędrzejewiczów szła w kierunku [brak słów - red.] zarówno młodzieży, nauczycieli szkół podstawowych (powszechnych) oraz średnich ogólnokształcą-

cych i zawodowych, jak też profesorów uczelni akademickich. Podobny sposób postępowania wywoływał opór i przeciwdziałanie zarówno postępowo jak i reakcyjnie nastrojonej inteligencji. To też w terminologii okresu, o którym piszę swoje wspomnienia, postępowanie dwóch tych braci jak i licznych adeptów tego kierunku, nie wahałbym się nazwać „wypaczeniem”.

Ambicja ponosząca Jędrzejewiczów doprowadziła też do stworzenia Akademii Literatury, która mogłaby się stać czymś znacznie poważniejszym w życiu kulturalnym Polski, gdyby nie była stworzona przez tych ludzi, którzy skorzystali z większości Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, aby zredukować poważnie autonomię szkół akademickich.

Pamiętam moją rozmowę ze starszym (Januszem) Jędrzejewiczem, który w tym czasie był ministrem oświaty, a nie premierem. Omawiając ogólne zadania profesury, Jędrzejewicz wykazał całkowite niezrozumienie tego czym są i zawsze były uczelnie akademickie. Mimo, że dzięki udziałowi Jana Zawidzkiego, w ustawie o szkołach akademickich zaznaczono wyraźnie, że pierwszym obowiązkiem profesora jest twórcza praca naukowa, J. Jędrzejewicz krytykował działalność profesury, gdyż, jak mówił, działalność ta sprowadza się do corocznego stereotypowego powtarzania z roku na rok tego samego kursu, np. matematyki. Sam wybór przykładu świadczył o zupełnym braku zrozumienia rozwoju nauki, gdyż właśnie matematykom dane było zająć poczesne miejsce w światowym rozwoju tej dziedziny wiedzy. Przytaczanie takich argumentów przez przyszłego premiera świadczyło, że poziom intelektualny tych, którym dawano w ręce władzę zarządzania, nie był wysoki, wszelkie więc powiązania nauki z dalszym rozwojem kultury, techniki, gospodarki przemysłowej i w ogóle postępowaniem były praktycznie niemożliwe.

Na tym miejscu należy podkreślić jak dalece przewyższał swych najbliższych współpracowników i wykonawców Marszałek Piłsudski. Jego inicjatywą było stworzenie Funduszu rozwoju nauki i kultury naszego kraju. W chwili realizacji tego projektu przyznano skromną sumę pięciu milionów złotych. W okresie rozwijającego się kryzysu Ministerstwo Skarbu dążyło zawsze do zmniejszenia tego kredytu. Sam fakt jednak stworzenia takiego funduszu był w polskich stosunkach ważnym wydarzeniem. Nie było też pozbawione symbolicznego znaczenia, że Piłsudski powołał na dyrektora, mającego zarządzać tym funduszem, Stanisława Michalskiego, który poświęcił całe swe życie pracy nad krzewieniem kultury i opiece nad młodymi siłami, rokującymi nadzieję zaznaczenia się pracą twórczą w nauce, literaturze, muzyce czy sztukach plastycznych. Cała przeszłość Michalskiego świadczyła, że on właśnie nadaje się najlepiej do zarządzania Funduszem Kultury Narodowej.

Byłoby rzeczą pożądaną, aby opracowany został szczegółowy życiorys Michalskiego z uwzględnieniem jego działalności społeczno-kulturalnej, zwłaszcza na terenie Kasy Mianowskiego, a następnie na stanowisku Dyrektora Departamentu Nauki i Sztuki w Ministerstwie Oświaty oraz Dyrektora zarządzającego Funduszem Kultury Narodowej.

Aczkolwiek utrzymywałem ze Stanisławem Michalskim bliskie stosunki i w czasie pełnienia funkcji Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego doprowadziłem do całkowitego uzgodnienia punktów widzenia Prezydenta Mo-

ścickiego i premiera Sławoja-Składkowskiego, tak że statut Funduszu Kultury Narodowej został ostatecznie zatwierdzony uchwałą izb ustawodawczych, miałem mimo to wiele zastrzeżeń co do metody należytego wyzyskania sum Funduszu Kultury Narodowej. Zastrzeżenia moje dotyczyły również metody wyboru kandydatów, uznawanych przez S. Michalskiego za zasługujących na uzyskiwanie tzw. zasiłków na kształcenie się i na dalszą pracę naukową. Powszechnie używany termin „zasiłek naukowy” uważałem za nieodpowiedni, gdyż pomoc na kształcenie się młodych naukowców, literatów i artystów nie może mieć charakteru jałmużny. Słownictwo używane przez Michalskiego i jego podwładnych przypominało czasy niewoli; nie wynikało ze zrozumienia przez czynniki kierujące polityką oświatową, kulturalną i gospodarczo-przemysłową, że w dobrze zrozumianym interesie państwa leży finansowanie twórczości we wszelkich dziedzinach i jest obowiązkiem społecznym, a nie filantropią.

S. Michalski był niejednokrotnie atakowany nie tylko dlatego, że dołączył się do innych wybitnych jednostek, które - mimo swą przeszłość postępową - przeszły do obozu antysemitów, ale także z powodu zbyt jednostronnego i arbitralnego zarządzania Funduszem Kultury Narodowej. Nie zabierałem głosu w tej sprawie, mimo, że uznawałem słuszność większości tych zarzutów. Zasługi społeczne Michalskiego były tak wielkie w ciągu długiego okresu czasu, obejmującego zarówno okres niewoli, jak też po odzyskaniu niepodległości, że uważałem za społecznie bardziej pożyteczne utrzymanie go na zajmowanym stanowisku, aniżeli zastąpienie go kim innym, mogącym się okazać mniej odpowiednim, a co najważniejsze, mniej obeznanym z całością rozwoju naszych placówek kulturalnych i badawczych. Sam wybór Michalskiego, dokonany przez Piłsudskiego, również miał swój wpływ na moje stanowisko w tej sprawie. Zwłaszcza, że szkody, wypływające ze swoistego podejścia Michalskiego do sprawy zarządzania Funduszem Kultury Narodowej były mniejsze aniżeli zyski, wypływające z głębokiego zrozumienia potrzeb nauki i kultury polskiej i całkowitego oddania się sprawie, jakie charakteryzowało Michalskiego przez całe jego życie. Zmiana na stanowisku Dyrektora Funduszu Kultury Narodowej była ryzykowna i z tego powodu niepożądana.

W związku z funkcjonowaniem jednostki zarządzającej Funduszem powiodło mi się doprowadzić do tego, że S. Michalski urzędował przy Prezydium Rady Ministrów, nie podlegał żadnemu z viceministrów lub innych wysokich urzędników przy premierze, miał więc dostęp bezpośredni i możliwość osobistego referowania spraw Premierowi Składkowskiemu. Miał również zastrzeżoną możliwość osobistego referowania spraw najbardziej ważnych bezpośrednio Prezydentowi Mościckiemu. Michalski korzystał z tych uprawnień, mimo że sposób referowania spraw nie zawsze dogadzał premierowi Składkowskiemu, wymagającemu zwięzłych, krótkich i bardzo rzeczowych referatów.

Polityka zagraniczna rządów pomajowych

Oczywiście znam tylko charakter posiedzeń Rady Ministrów w dwóch gabinetach: M. Zyndram-Kościałkowskiego i F. Sławoja-Składkowskiego, w których brałem udział, przypuszczam jednak, że jeżeli chodzi o tryb postępowania i po-

rzątek obrad, to posiedzenia innych zespołów nie odbiegały zbytnio od tego, co charakteryzowało dwa ostatnie gabinety przed najazdem Hitlera na Polskę. Otóż najistotniejszą cechą było to, że każdy z ministrów składał sprawozdania i uzgadniał zasady postępowania w poufnych rozmowach w cztery oczy z prezesem Rady Ministrów. Z nielicznymi usprawiedliwionymi wyjątkami kierownik każdego resortu miał ustaloną godzinę na porozumienie z premierem. To też wszystkie najważniejsze sprawy dotyczące polityki zagranicznej nie były tematem dyskusji na posiedzeniach Rady Ministrów. W najważniejszych sprawach J. Beck, minister spraw zagranicznych w rządach pomajowych, informował swych kolegów. Z małymi wyjątkami nie było to związane z dyskusją. Uchwały plenum rządu dotyczyły przede wszystkim ustaw przedstawianych do uchwalenia izbom ustawodawczym, lub zarządzeń uchwalanych przez gabinet w okresie między dwiema sesjami Sejmu i Senatu z tym, że po rozpoczęciu sesji ustawodawczej uchwały te podlegały zatwierdzeniu lub odrzuceniu przez ciało ustawodawcze. Stąd też wynikała bezpośrednia konieczność międzyresortowego porozumiewania się we wszystkich sprawach, które w ten czy inny sposób zahaczały o kompetencyjne czy też zainteresowania dwóch lub kilku resortów.

Czytelnikowi może się wydać dziwnym fakt, że resort oświaty i wyznań religijnych musiał utrzymywać żywe kontakty z wieloma resortami innymi, zwłaszcza zaś z Ministrem Spraw Zagranicznych, zarówno w sprawach wyznaniowych jak też szkół mniejszościowych tak na terenie Polski jak też poza jej granicami. Stąd wynikała dość częsta potrzeba porozumiewania się z Beckiem. Przypuszczam, że niżej przedstawiona charakterystyka Becka odbiegać będzie dość znacznie od utartego, zdaniem moim, niesprawiedliwego stosunku licznych jego krytyków. Uważam za konieczne zacząć od przypomnienia faktu, że dla tych czy innych powodów Beck od roku 1918 cieszy się zarówno zaufaniem jak i sympatią Marszałka Piłsudskiego. Nie znam bliżej powodów tego wyróżnienia. Nie umiem też odpowiedzieć na pytanie czy wynikało to z tego, że Beck wykonywał ślepo polecenia Piłsudskiego oraz czy wśród tych poleceń były niemiłe związane z nieprzebieraniem w środkach. Nie jestem też pewien czy polecenia takie były w ogóle dawane Beckowi, jako ślepo oddanemu człowiekowi. Czy historia wykryje istnienie takich poleceń? W ocenie mojej nie biorę pod uwagę żadnych takich plotek, podejrzeń - może nawet twierdzeń - gdyż nie mam o nich sądu dla braku nie ulegających zaprzeczeniu faktów. Faktem jest, że Piłsudski upatrzył J. Becka na kandydata do prowadzenia polityki zagranicznej Polski. W tym celu zapewne wysłał go do Paryża jako attache wojskowego przy naszej ambasadzie. Nie miałem nigdy żadnych wiadomości czym się naraził Beck władzom wojskowym czy też dyplomacji francuskiej, pewne jest, że sfery dyplomatyczne nienawidziły Becka. Poczytywano więc nam za obrazę wyrządzoną Francji, gdy powołano go na Ministra Spraw Zagranicznych. Należy jednak brać pod uwagę fakt, że ambasadorowie francuscy przydzieleni do Polski, usiłowali podkreślić swe wyłączne, uprzywilejowane wśród korpusu dyplomatycznego, stanowisko i traktowali Polskę jako państwo, które więcej powinno słuchać, aniżeli wypowiadać swoje zdanie i walczyć o swe żywotne interesy. Mimo wielu słodkich słówek, Francja nie kwapiła się z uznaniem granic i ich gwarancją, przeciwnie zawierała układy (Locarno) z zupełnym pominięciem najżywotniejszych interesów Polski. Pamiętam

też rozmowę z jednym z ambasadorów Francji, w której - przy zachowaniu wszelkich dyplomatycznych uprzejmości - wysunięta została perspektywa wykładania jednego tylko języka obcego w szkołach, oczywiście języka francuskiego. Dałem natychmiast kategoryczną odpowiedź odmowną, przerywając jednocześnie naszą rozmowę.

Pełnienie przez J. Becka obowiązków ministra spraw zagranicznych utrudniało, oczywiście, stosunki z dyplomatami francuskimi, aczkolwiek z czasem wytworzyły się z Francją stosunki znośne, niechęć do Becka pozostawała jednak mimo wszelkie wysiłki najbliższych jego współpracowników.

O pewnym napięciu stosunków towarzyskich pomiędzy Beckiem i ambasadą francuską wiadano w społeczeństwie, stąd też zapewne rozpowszechniane niesłusznie oskarżenie w stosunku do Becka. Na tym też tle powstało niesłuszne oskarżenia, że żywi on sympatie proniemieckie. Twierdzę z głębokim przekonaniem osobistym, że wysuwane zarzuty są bezpodstawne.

Przechodzę do charakterystyki Becka; zacznę od wyliczenia jego wad, które powodowały niechętny lub wręcz wrogi stosunek wielu mniej lub bardziej wpływowych osobistości. Niewątpliwie Beck był bardzo wysokiego mniemania o sobie. Uważał też siebie za ministra, z którym liczyć się muszą wszyscy członkowie rządu z premierem włącznie. Być może miał pewne dane na to - jako odpowiedzialny za politykę zagraniczną - by żądać zapytania go przed dokonaniem tego lub innego poważnego posunięcia w rządzeniu Państwem, czy posunięcie to nie stworzy trudności ministerstwu spraw zagranicznych. Np. niespodziewana decyzja prezydenta Mościckiego rozwiązania sejmu (?) została dokonana bez porozumienia z Beckiem. Miał on pretensję do Zamku i Sławoja Składkowskiego, jako ówczesnego premiera, że nie uprzedzono go o tym, podkreślając, że stworzyło mu to pewne trudności, a przynajmniej umniejszyło jego autorytet wśród dyptomatów.

Osobiście uważam, że w zasadzie Beck miał rację. Zaskakiwanie ministra spraw zagranicznych w ten sposób pomniejsza jego autorytet wśród tych, którzy chcą wyzyskać każdą sytuację, aby mniej się liczyć z kierownikiem polityki zagranicznej kraju, w którym reprezentują swój własny kraj.

O wiele gorszą wadą Becka była jego „słaba głowa”, mała odporność na wypicie niewielkich nawet ilości trunków, zawierających alkohol. Nie chodzi tu wcale o pijaństwo, lecz o tak zwane rozwiązywanie się języka pod wpływem podniecia alkoholowej. Widziałem Becka w stanie podnieconym i obawiałem się zawsze, aby nie powiedział czegoś niepotrzebnego tym, którzy tego właśnie oczekują od każdego dyplomaty, zatracającego miarę powściągliwości w szczerym wypowiedaniu swych myśli.

Najważniejszym jednak brakiem nie charakteru, ale przygotowania Becka do pełnienia funkcji Ministra Spraw Zagranicznych, był daleko idący brak wszelkiej wiedzy o naszym wschodnim sąsiedzie - Związku Radzieckim. Pomyślny koniec wojny prowadzonej ze wschodnim sąsiadem w r. 1920, wraz z zawarciem traktatu w Rydze, wytworzył w Polsce nastroje doprowadzające do zupełnego niezrozumienia grożącego nam niebezpieczeństwa z tej właśnie strony. Błędem, wynikającym z niezajomości stosunków na Wschodzie, było powierzenie funkcji Dyrektora Departamentu Wschodniego (może urząd ten nazywał się nieco ina-

czej) przedstawicielowi ziemiaństwa kresowego, nie mającemu żadnego pojęcia o tym co się w Związku Radzieckim działo zarówno jeśli chodziło o usiłowanie rozwinięcia wielkiego przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego, jak też wypracowania metody szybkiego stworzenia kadry własnych specjalistów w tych działach techniki w ogóle, a w szczególności specyficznych wybranych działów.

Rzecz prosta lata 1917-1922 nie sprzyjały prędkiemu rozwojowi przemysłu w Związku Radzieckim. Wkrótce jednak opracowano plan, który doprowadził do szybkiego opanowywania wszelkich zaniedbań, sięgających carskich czasów i pierwszego okresu realizowania haseł wielkiej rewolucji październikowej. O ile pamiętam Dyrektor ten nazywał się Kobylański. Nie miał on żadnego przygotowania do zajmowania tej tak bardzo odpowiedzialnej placówki, mającej dostarczać obiektywnego materiału, dotyczącego rozwoju rolniczego, przemysłowego, gospodarczego i naukowego w ZSRR. Po r. 1920 większość społeczeństwa wytworzyła sobie całkiem mylne przekonanie o tym, że w Związku Radzieckim nic się nie dzieje takiego, co jest związane z rozwojem ogólnym, zwłaszcza zaś technicznym i naukowym.

Tak się złożyło, że w roku 1934 zaproszony zostałem wraz z prof. M. Centnerszwerem do wzięcia udziału w Międzynarodowym Zjeździe, mającym uczcić setną rocznicę urodzin najwybitniejszego chemika, nie tylko w ZSRR, ale w świecie D.J. Mendelejewa, twórcy tzw. układu okresowego pierwiastków chemicznych, założyciela Biura Miar i Wag w ówczesnym Petersburgu. W czasie rozmowy z ambasadorem polskim, którego nazwiska nie pamiętam, wypowiadałem otwarcie swój punkt widzenia, że mamy za skąpe informacje o porewolucyjnym rozwoju nauki, techniki, rolnictwa i wielu innych stronach życia i rozwoju ZSRR, który dawno zaleczył rany, związane z kilkuletnią wojną domową i walką z oddziałami wojsk, montowanymi często przy współudziale państw kapitalistycznych. Podkreślałem, że w chwili wybuchu rewolucji październikowej nauka rosyjska stała na wysokim poziomie i że nie zadano jej żadnego ciosu, gdyż z licznych uczonych wszyscy pozostali przy życiu z wyjątkiem jednego tylko fizyka Kolliego, rozstrzelanego w Rostow[ie] na skutek donosu jego służącej. Zdaniem więc moim istniała możliwość prędkiego odrodzenia nauki rosyjskiej, gdyż w olbrzymiej większości katedry obsadzone były przez rdzennych Rosjan. To samo dotyczyło członków Akademii Nauk, mającej swą siedzibę w r. 1917 w Leningradzie. Prosiłem ambasadora o stałe informowanie o wszystkim, co dotyczy rozwoju nauki i podstaw, na których opiera się rozwój przemysłu radzieckiego. Miałem jednakże wyrobione zdanie o złej obsłudze wszystkich placówek dyplomatycznych w dziedzinie tych zagadnień, nie związanych bezpośrednio z dyplomacją. Dlatego też, korzystając z tego, że znałem dobrze język rosyjski oraz przygotowałem referaty z ebuliometrii i kaloryometrii, wybrałem tak zaplanowaną wycieczkę, która prowadziła z Leningradu przez Moskwę, Charków, Dnieprostroj i Kijów, aby móc osobiście poczynić spostrzeżenia dotyczące postępów poczynionych w ZSRR po ustabilizowaniu reżimu porewolucyjnego - a, co najważniejsze, po przyjęciu i wprowadzeniu zasady racjonalnego planowania całej gospodarki ZSRR.

Wbrew opiniom wypowiedzanym w Polsce i nie negowanym, ale przeciwnie rozwijanym przez odpowiedni departament Ministerstwa Spraw Zagranicznych,

stwierdziłem bardzo znaczny postęp w wielu gałęziach przemysłu, z przemysłem ciężkim na czele.

Stwierdziłem wówczas racjonalną, dobrze przemyślaną metodę postępowania. Ponieważ w omawianym czasie państwa kapitalistyczne gotowe były zawsze do zawierania wszelkiego rodzaju umów na nowoczesne instalacje, dostarczanie nowoczesnych maszyn i urządzeń technicznych, utarł się zwyczaj obstawywania za granicą potrzebnych nowoczesnych maszyn, aparatów, silników, turbin itp., z tym, że następny zespół zakupionych urządzeń będzie budowany w ZSRR, przy czynnym współudziale tych specjalistów zagranicznych, którzy brali udział w produkcji dostarczonego zespołu. Trzeci zaś zespół budowany był z reguły przez inżynierów i techników ZSRR w oparciu o zdobyte już doświadczenie. Mimo wysokich wynagrodzeń, pobieranych przez specjalistów zagranicznych, stosowana metoda była najlepszą, prowadzącą najprędzej do unowocześnienia przemysłu rodzimego w ZSRR. Personel techniczny nabierał wprawy w uruchomianiu nowych lub unowocześnionych produkcji.

Przebieg wypadków po r. 1945 uniemożliwił w Polsce posługiwanie się taką metodą rozwoju rodzimego przemysłu. Stan ten utrzymuje się u nas nawet w r. 1957, kiedy ustęp ten jest pisany.

Już w roku 1934 zdawałem sobie sprawę z tego, że dalece nie tylko J. Beck i jego koledzy, w rządzie, ale również szerokie sfery społeczeństwa polskiego nie zdają sobie sprawy z postępów zrobionych przez ZSRR w dziedzinie rozwoju przemysłu w ogóle, a uzbrojeniowego w szczególności. Było to powodem dla czego zwróciłem się wówczas do Prezydenta Mościckiego z prośbą, aby zechciał zorganizować u siebie zebranie członków rządu, byłych premierów, szefa sztabu generalnego oraz wszystkich oficerów odpowiedzialnych za rozwój naszego uzbrojenia z tym, że na tym zebraniu złożę sprawozdanie z tego wszystkiego co widziałem w ZSRR i co w ogóle nie było tam ukrywane, a nawet przeciwnie pokazywane zaproszonym gościom na zjazd Mendelejewski. Prezydent nie odmówił mojej prośbie i posiedzenie takie miało miejsce. Była to jednak wielka moja porażka. Słuchano mojego sprawozdania ze wzruszeniem ramion i z wyraźnym powątpiewaniem czy wszystko o czym mówiłem nie jest po prostu wielką przesadą. Miałem wrażenie, że Prezydent odniósł się raczej sceptycznie do moich wywodów, a jednakże dziś również jestem tego zdania, że przedstawione fakty nie tylko nie były wyolbrzymione, ale były niejako ostrzeżeniem, że w ocenie wojskowego potencjału ZSRR trzeba było całkowicie zapomnieć o roku 1920 i sukcesach polskiej armii nad niedostatecznie wyćwiczonym, uzbrojonym i wyekwipowanym wojskiem, mającym za sobą jedynie zwycięstwa w walkach z kontrrewolucjonistami, nie mającymi za sobą moralnego i materialnego poparcia szerokich mas ludowych.

Rozmyślnie przytoczyłem na tym miejscu sprawę stosunku sfer rządzących i wojskowych do gotowości militarnej naszego sąsiada, aby jeszcze bardziej uwypuklić nastawienie Becka do ułożenia stosunków politycznych i dyplomatycznych z ZSRR. Opinie przedkładane swemu szefowi przez Kobyłańskiego, Dyrektora Departamentu Wschodniego MSZ, nie budziły żadnych wątpliwości, gdyż były to opinie zgodne z poglądami niemal wszystkich wojskowych i cywilnych władz, a nawet większości społeczeństwa.

Dodam nawiasem, że miałem wyczerpujący odczyt w Stowarzyszeniu Techników, przy ul. Czackiego 3/5, przy przepełnionej sali. Miałem znacznie później informacje, że elementy lewicowe, do komunistów włącznie, podzielały mój pogląd na sprawę szybko postępującego procesu uprzemysławiania ZSRR oraz dozbrajania armii i wprowadzania karność wojska, mocno zachwianej w pierwszych latach po rosyjskiej rewolucji październikowej.

Ponieważ obszerna ta wstawka jest przytoczona w miejscu, w którym usiłuję dać ocenę oblicza J. Becka, zwłaszcza jako kierownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, należy przedstawić również mój pogląd na stosunek Becka do sprawy przygotowań wojennych hitlerowskich Niemiec.

W odniesieniu do tej sprawy opinia szerokich mas społeczeństwa polskiego nie była przychylna dla Becka. Nie cieszył się on sympatią ani prawicy ani lewicy, a więc tych wszystkich, którzy odnosili się również krytycznie do Marszałka Piłsudskiego, a przynajmniej do jego „pułkowników”. Jednakże krytyczny stosunek do Becka miało również wielu z pośród tych, którzy byli oddani Piłsudskiemu i ufali jego polityce wewnętrznej i zewnętrznej. Na negatywny stosunek do Becka miało pewien wpływ jego niepolskie nazwisko. Nieliczni obywatele polscy wiedzieli o tym, że ojciec Becka należał do wysoce uczciwych ludzi, był gorącym patriotą, a w dodatku filozofem głęboko tkwiącym w mistycyzmie. Wiedziałem o tym z rozmów z chemikiem Bieleckim, profesorem Politechniki Warszawskiej. Byłem też na pogrzebie ojca Becka, chcąc w ten sposób zaznaczyć, że wysoko cenilem go nie jako mistyka, ale wysoce patriotycznego obywatela naszego kraju. Mimo, że według mego głębokiego przekonania nie można wysuwać żadnych zarzutów przeciwko Beckowi za jego domniemane sympatie proniemieckie, gdyż ich, zdaniem moim, nie żywił, mam jednak przekonanie, że postąpił niesłusznie, nie polecając swym urzędnikom w ten czy inny sposób obalać rozpowszechniane, zapewne przez agentów Hitlera, wieści o złym stanie uzbrojenia armii niemieckiej. Naiwne i oczywiście nieprawdziwe pogłoski szerzone były przez czas dłuższy, włącznie do okresu bezpośrednio poprzedzającego najazd Hitlera na Polskę. Nie słyszałem nigdy, aby Ministerstwo Spraw Zagranicznych czyniło jakieś starania, aby obalić te nieprawdziwe wersje. O ile pamiętam, Ministerstwo Spraw Wojskowych nie reagowało również na szerzenie nieprawdziwych wiadomości o stanie uzbrojenia armii niemieckiej.

Zarzut wysuwany przeze mnie nie ma jednak nic wspólnego z twierdzeniem, że było to związane z jakimkolwiek proniemieckim nastawieniem zarówno kierowników resortów, jak też urzędników i oficerów, bezpośrednio współpracujących z odpowiednimi swoimi szefami.

Przechodzę obecnie do stron dodatnich Becka, jako kierownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Był on niewątpliwie inteligentny, świadom swej odpowiedzialności, jasno patrzący na cały kompleks spraw międzynarodowych. Szukał bliższych stosunków z krajami, które z dala stały od problemów polskich i przez kontakt z nimi starał się uświadomić je o roli, jaką odgrywała Polska ze względu na jej położenie geograficzne. Tak więc było jego inicjatywą nawiązanie współpracy naukowców, artystów, pisarzy i w ogóle intelektualistów Polski i krajów Skandynawskich. To samo dotyczyło naszych najbliższych sąsiadów, a więc Rumunii, Węgier i Słowacji. Gorzej się rzecz przedstawiała z Czechami. Mieli-

śmy do nich żal za zagarnięcie połowy Cieszyna i pobliskich terenów zamieszkałych przez ludność polską i czeską. Nie umieliśmy się pozbyć uprzedzeń w stosunku do bratniego narodu, gdyż pokutowały zadawnione różnice zdań, stosunków i uczuć, związanych z rosyjskimi sympatiami Czechów w okresie, w którym carskie rządy usiłowały stworzyć ruch pansłowianizmu. Czesi, oddzieleni od carskiej Rosji, nie uwzględniali naszych cierpień i krzywd doznananych od chwili rozbiorów Polski. Panslawizm czeski uważaliśmy, nie bez racji, za determinację uczuć wielkiej sympatii do carskiej Rosji wówczas, gdy Polacy żywili nienawiść dla carskiego reżimu, do rosyjskich urzędników, przenosząc w znacznej mierze te uczucia na cały naród rosyjski. Negatywny stosunek do Czechów uważałem za szkodliwy w okresie międzywojennym. Wiąże się to ściśle również z akcją naszą zagarnięcia ziem zaolziańskich, dokonaną niestety na krótko przed inwazją hitlerowską. Wprawdzie miałem niesprawdzone bezpośrednio informacje, że Czesi sami sugerowali zajęcie części ich terytoriów, aby je ratować przed zagarnięciem przez hitlerowskie Niemcy. Należy wyrazić życzenie, aby badania historyków dokładnie wyjaśniły czy były oficjalne lub nieoficjalne sugestie czeskie, nie wyrażające sprzeciwu wobec zajęcia przez nas Zaolzia. Ówczesne wystąpienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych i czynników wojskowych mogą być uważane nie tylko za niewłaściwe, ale również świadczące o całkowitym niewyczuwaniu tego, że sami stoimy przed katastrofą roku 1939.

Osobiście, jako minister oświaty, ograniczyłem się do zwiedzenia kilku szkół na Zaolziu. Uczyniłem to, aby nie dawać powodów do szerzenia opinii, że w rządzie są niejednolite poglądy na tę sprawę. Dodam też, że żadnych uchwał rządu w tej sprawie nie było. Decyzja zajęcia Zaolzia była powzięta przez czynniki nadrzędne. Zresztą, tego wymagała szybkość działania i potrzeba unikania dyskusji. Reszty dokonało to niechętnie stanowisko w stosunku do Czechów, spowodowane ich zachowaniem się wówczas, gdy walczyliśmy o nasz byt niezależny w r. 1920 oraz naszym ujemnym stosunkiem do panslawizmu, sprowadzającego się do hegemonii carskiej Rosji i polityki rosyjskiej, znajdującej niewątpliwie poparcie całego narodu wielkoruskiego.

Wracam jednak do charakterystyki współpracy Becka z Ministerstwem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Dla niewtajemniczonego może się wydać, że nie było powodów, aby współpraca ta w ogóle była potrzebna. W rzeczywistości była ona konieczna, zarówno w sprawach szkół niemieckich na terenie Polski, jak też szkół polskich w Niemczech. W obu przypadkach wolałem porozumiewać się bezpośrednio z Beckiem, aniżeli z wiceministrem Szembekiem, który obawiał się zawsze zadrażnienia Niemiec, gdy chodziło o domaganie się tego, do czego Niemcy byli zobowiązani, traktatem Wersalskim. Szembek zajmował stale bardziej ustępliwe i kompromisowe stanowisko, aniżeli Beck, który zgadzał się zawsze ze stanowiskiem resortu Oświaty, domagającym się rzetelnego wykonywania zobowiązań ze strony Niemców. Świadczy to raz jeszcze jak niesprawiedliwa była opinia publiczna, wysuwająca zarzuty proniemieckiego stanowiska Becka.

O wiele więcej kontaktów z Beckiem miałem w sprawach wyznaniowych. Szerokie sfery społeczeństwa polskiego nie wiedziały, że w czasie mego urzędowania prowadzone były systematyczne i intensywne prace w dziedzinie unormo-

wania stosunków prawnych państwa polskiego z wyznaniem: katolickim, prawosławnym, trzema ewangelickimi, muzułmańskim i karaimskim. Żadnych trudności nie mieliśmy z załatwieniem spraw dotyczących wyznania muzułmańskiego i karaimskiego. Jest rzeczą godną uwagi, że w ciągu wieków potrafiliśmy wytworzyć najlepsze stosunki z nielicznymi grupami narodowości od dawna zamieszkałych w centrum północno-wschodniej części Polski. Należy podkreślić, że asymilacja tych dwóch grup dokonała się bez przeszkód dlatego, że grupy te były nieliczne oraz nie miały bezpośredniej bliskiej więzi ze zwartymi masami ludności, należącymi do tych dwóch narodowości. Nie było więc wpływów zewnętrznych, skłaniających do wąskiego nacjonalizmu, związanego zawsze z wrogim nastawieniem do rdzennej ludności danego kraju. Jest rzeczą godną uwagi, że podobny stosunek, zgodny z polską racją stanu, zajęli przedstawiciele dwóch wyznań ewangelickich, a więc kościół ewangelicko-augsburski, zbliżony bardzo do luteranckiego oraz ewangelicki - zbliżony do kalwińskiego. W tym przypadku patriotyzm wyznawców był nieporównanie większy, aniżeli jakiegokolwiek sympatie i tradycje, wiążące wyznawców tych dwóch religii z Niemcami i częściowo Szwajcarami, którzy dali początek istnieniu tych dwóch wyznań. Łączy się to ściśle z asymilowaniem się Niemców w Polsce oraz z patriotyzmem tych rdzennych Polaków, którzy nie mogli się pogodzić z polityką i dogmatyką kościoła rzymsko-katolickiego. W miarę rozwoju wypadków historycznych, zatarcały się pierwotne nastroje Polaków-protestantów, które prowadziły do zdrady stanu w czasie wojen ze Szwedami. To też rozmowy z przedstawicielami kościoła ewangelicko-augsburskiego doprowadziły wreszcie do uzgodnienia rozbieżności i sprawa uregulowania stosunków pomiędzy kościołem ewangelicko-augsburskim i Ministerstwem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego została ostatecznie załatwiona bez potrzeby porozumiewania się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Z przedstawicielami kościoła kalwińskiego doszliśmy prędko do porozumienia, również bez trudności, wymagających rozmów z ministrem Beckiem. Musieliśmy się natomiast porozumiewać i uzgadniać swe stanowiska w odniesieniu do kościoła protestanckiego, którego wyznawcami byli przeważnie Niemcy, zamieszkujący województwo Górnośląskie. Wielką pracę włożył w załatwienie tej sprawy wojewoda Grażyński. Informowaliśmy jedynie Ministerstwo Spraw Zagranicznych o oporach i trudnościach, napotykanym w toku uregulowania tej sprawy, gdyż wiązało się to z ogólną polityką, prowadzoną przez Ministerstwo w stosunku do Niemców. Ani sprzeciwu, ani specjalnych zastrzeżeń ze strony J. Becka nie mieliśmy, tym bardziej, że wszystkie sprawy związane z uregulowaniem stosunku z trzema wyznaniem protestanckimi prowadziliśmy, porozumiewając się z [brak nazwiska - red.] bardzo zdolnym i inteligentnym urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Sprawa uregulowania stosunku prawnego z kościołem prawosławnym zajęła bardzo wiele czasu, wymagała wielkiej umiejętności prowadzenia rokowań i pod względem prawnym wymagała wstępnego załatwienia dość skomplikowanej i trudnej procedury.

Przeciętny obywatel polski nie zdawał sobie sprawy z trudności uregulowania sytuacji kościoła prawosławnego, gdyż nie wiedział, że głową kościoła prawosławnego był patriarcha Konstantynopola (?), który poza kilkoma tradycyjnymi

przywilejami utracił z czasem wszystkie cechy rzeczywistego, najwyższego przedstawiciela tego wyznania. W miarę rozwoju wypadków historycznych kościół prawosławny podzielił się na kilkanaście autokefalji (bodaj, że było ich dwanaście). Na czele autokefalnego kościoła w danym państwie, a w niektórych przypadkach w pewnych ośrodkach, pozbawionych niezależności i suwerenności państwowej, stał metropolita, najczęściej podległy głowie państwa. Tak było w kilku państwach z Rosją carską na czele. Do patriarchy Konstantynopola, jako „prymasa” wśród równych sobie, należało załatwianie sporów pomiędzy metropolitami, reprezentującymi połowicznie autokefalię kościoła prawosławnego w danym państwie. To też wobec powstania suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej, po zwycięskiej wojnie aliantów, w warunkach rewolucyjnej walki w dawnej carskiej Rosji oraz wobec zwycięstwa sił rewolucyjnych, nie uznających w ogóle ani religii, ani kościoła prawosławnego w tworzącym się Związku Radzieckim, przestała automatycznie, czy też spontanicznie działać zasada autokefalii kościoła prawosławnego na całym terenie dawnej carskiej Rosji. Zachowana zaś w Polsce cerkiew prawosławna nie była oddzielona żadnym aktem prawnym od autokefalii kościoła prawosławnego, rosyjskiego. Przez dłuższy czas stan taki utrzymywał się w Polsce. Mieliliśmy metropolitę, reprezentującego kościół prawosławny na terenie odrodzonej Polski. Nie było jednak żadnego aktu prawnego, któryby tę sprawę w jakikolwiek sposób załatwiał. Widocznie sprawa ta została przedstawiona - po przewrocie majowym w 1926 r. - Piłduskiemu i jego inicjatywą było powierzenie całej sprawy wojewodzie Łuckiemu, Józewskiemu. W chwili, gdy zostałem mianowany ministrem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, zostałem poinformowany, że Józewski jest w toku opracowywania tego zagadnienia. Potocki, dyrektor departamentu wyznań, ze swej strony podjął inicjatywę opracowania historycznego rozwoju prawosławia w Polsce. Napisanie obszernego dzieła zostało powierzone znanemu polskiemu historykowi, profesorowi Kazimierzowi Chodynickiemu. O ile mnie pamięć nie myli, wydany został pierwszy tom tego dzieła.

W miarę stopniowo postępującego wzrostu uczuć narodowościowych zarówno rdzennej ludności poszczególnych krajów, a więc i Polski, jak też mniejszości narodowych, stało się jasne, że szkic opracowany przez Józewskiego nie zapewnił wpływu rządu na postępowanie kleru prawosławnego. Z tego powodu uważałem za niemożliwe przyjęcie bez poprawek projektu przedstawionego nam, już po śmierci Marszałka Piłsudskiego, jako podstawy do ostatecznego załatwienia tej sprawy. Odbyłem kilkakrotnie rozmowy z Józewskim, doradcą prawnym i urzędnikami Departamentu Wyznań, z Dyrektorem Potockim na czele. Wprowadziliśmy szereg zmian w projekcie i rozpoczęły się ponowne dyskusje z metropolitą, jako jedynym przedstawicielem kościoła prawosławnego. Zgadzaaliśmy się wszyscy na to, że punktem wyjścia było stworzenie autokefalii kościoła prawosławnego w Rzeczypospolitej Polskiej. Była to więc sprawa wymagająca uzgodnienia z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, a więc z Beckiem, jako odpowiedzialnym za wszystkie posunięcia związane z załatwianiem spraw, budzących zainteresowanie kilku państw, w których prawosławie było głównym wyznaniem ludności.

Znów muszę podkreślić, że i w tej sprawie znalazłem całkowite zrozumienie i poparcie dyplomatyczne Becka. Nie mieliśmy też sprzeciwów ze strony rządów, mających pewne podstawy do zabierania głosu w tej sprawie.

Co się tyczy kościoła rzymsko-katolickiego i dóbr „martwej ręki”, aczkolwiek doszliśmy z kardynałem Hlondem do porozumienia, inni biskupi jednak szerzyli w Watykanie nieprawdziwe pogłoski o parcelacji ziem, należących do kościoła katolickiego, podobnie jak w czasie poprzednich prób dojścia do porozumienia w sprawie dóbr martwej ręki (paragraf 24 A Konkordatu) przez Stanisława Grabskiego z Rzymem (paragraf nieco zmieniony, wobec niezrozumiałości w oryginale).

Papież polecił załatwić tę sprawę nuncjuszowi. Nuncjusz nie zwrócił się do Ministra Spraw Zagranicznych, lecz do mnie, we względu na potępienie Becka za zmianę religii i wzięcie ślubu z inną kobietą za życia pierwszej żony. Ponieważ sprawa należała do typowo „dyplomatycznych”, Beck miał prawo i obowiązek do jej załatwienia. Porozumiałem się z Beckiem telefonicznie i, jak w poprzednich sprawach, znalazłem całkowite zrozumienie, że dla dobra sprawy nie należy robić trudności i przyjąć moje pośrednictwo.

Zgodę (?) otrzymałem natychmiast i mogłem zakomunikować nuncjuszowi, że rząd uważa sprawę dóbr „martwej ręki” za załatwioną oraz, że wniesie na nadchodzącej sesji projekt ustawy o nadaniu praw własności wszystkim osadnikom, którzy od lat kilkunastu na akt ten czekają. Zazaczyłem jednocześnie, że, niezależnie od dokonanego bezpośredniego porozumienia rządu polskiego z Watykanem, oficjalne załatwienie i podpisanie odpowiedniego aktu zostanie załatwione z kardynałem Hlondem, gdyż on jest oficjalnie upoważniony do prawnego załatwienia z ministrem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego sprawy dóbr „martwej ręki”.

Nuncjusz nie zgłaszał sprzeciwu i zgodnie stwierdziliśmy, że jego oświadczenie dotyczy faktu, że od tej chwili Watykan nie ma nic przeciwko temu, aby izby ustawodawcze nadały prawo własności osiedleńcom, gospodarującym od kilkunastu lat na ziemiach „martwej ręki”.

Rzecz prosta wiadomość o porozumieniu się moim z nuncjuszem papieskim doszła prędko do kardynała Hlonda i doprowadziła go do stanu największego rozdrażnienia. Uważał, że moje postępowanie obraża go, jako przedstawiciela Papieża, nie wiedział bowiem, że podpisanie przez nas obu aktu wiążącego się z tą sprawą zastrzegłem w rozmowie z nuncjuszem.

Tak się złożyło, że w parę dni po rozmowie mojej z nuncjuszem, odbywała się uroczystość na zamku w Krakowie, w obecności Prezydenta. Był na niej Hlond. Obrażony, unikał wyraźnie spotkania ze mną. Nie bacząc na to, sam podszedłem do niego i wytłumaczyłem mu, że rozmowa z nuncjuszem dotyczyła jedynie powiadomienia rządu, że Watykan godzi się na podpisanie porozumienia, nie ma więc mowy o tym, abyśmy nie dokonali całej sprawy i proszę o ustalenie terminu podpisania sparażowanego i uzgodnionego przez nas aktu, jako jedynych, upoważnionych przedstawicieli Watykanu i Rządu Polskiego. Po tym oświadczeniu Hlond uspokoił się i ustaliliśmy termin i miejsce naszego spotkania.

Trzymałem się kolejnego porządku załatwiania wszystkich spraw, związanych z ustaleniem stosunków prawnych poszczególnych wyznań z państwem polskim.

Było to celowe, gdyż w każdym z zawartych aktów była wzmianka o tych sumach, które ma wypłacać skarb państwa na utrzymanie kleru i inne potrzeby. Nie wspominałem o wyznaniu Mojżeszowym, po pierwsze dlatego, że od chwili zburzenia świątyni żydowskiej w Jerozolimie przestali istnieć kapłani. Wyznanie mojżeszowe nie miało ani kleru ani głowy kościoła. Oficjalnie występowała gmina żydowska, jako reprezentantka interesów wyznawców wiary żydowskiej. Od dawna też na utrzymanie gminy żydowskiej potrącane były sumy, o ile dobrze to pamiętam, z uboju rytualnego. Dlatego też ani rząd, ani wyznawcy wiary żydowskiej nie potrzebowali określać stosunku prawnego gminy żydowskiej i państwa. Po prostu nie był potrzebny akt prawny, zatwierdzony przez izby ustawodawcze. Wspominam o tym, gdyż sprawa prawna wypłacania sum diecezjom katolickim była sformułowana w uzupełnieniu do paragrafu 24 A Konkordatu. Na tę okoliczność nie zwrócili uwagi biskupi katoliccy, nie wyłączając Hlonda, który występował w imieniu całego kleru w rozmowach ze mną, działającym z upoważnienia rządu.

Urzędnikom Departamentu Wyznań nie przychodziła do głowy myśl, że z chwilą podpisania porozumienia w sprawie ziem „martwej ręki” upadają wszelkie pretensje kościoła katolickiego do sum wypłacanych diecezjom dlatego właśnie, że było to zastrzeżone w dodatku 24 A do odpowiedniego paragrafu konkordatu.

Trzymałem tę sprawę w tajemnicy przed wszystkimi, łącznie z naczelnikiem Wydziału Prawnego. Moim zdaniem wypłaty należało utrzymać nadal, gdyż nie można było wypłacać sum na utrzymanie kleru innych wyznań, a wstrzymać ich wypłacanie klerowi katolickiemu tylko dlatego, że za ziemie „martwej ręki” Kościół miał otrzymać pewną kwotę w rencie państwowej. Suma, przypadająca Kościołowi jako odszkodowanie za ziemie odebrane Kościołowi nie przez rząd polski, lecz rządy zaborcze, była stosunkowo niewielka i w ogóle nie powinna była zwalniać rządu polskiego od wypłacania dotacji wobec tego, że zgodził się wypłacać innym wyznaniom. Dlatego też zawczasu otrzymałem zgodę Prezydenta i Premiera na taką interpretację naszych zobowiązań - niezależnie od interpretacji prawnej uzupełnienia do paragrafu 24 A Konkordatu, zawartego z Watykanem, które zapewniało wypłatę dotacji poszczególnym diecezjom w dotychczasowym rozmiarze.

Nie chciałem jednak rezygnować z tego, aby pokazać Hlondowi, a pośrednio wечно opozjonistycznie nastawionemu klerowi, jak dalece zapędzili się oni w załatwianiu sprawy dóbr „martwej ręki”, nie rozumiejąc, że tym samym rezygnują dobrowolnie z dotacji, sięgających kilkunastu milionów złotych.

Aby się upewnić, że moja interpretacja prawna odpowiedniego ustępu konkordatu jest słuszna, zwołałem posiedzenie doradców prawnych wszystkich ministeriów, łącznie z Dyrektorem Departamentu Prawnego Prezesa Rady Ministrów i przedstawiłem mój punkt widzenia na konsekwencje, wynikające z przygotowanego aktu porozumienia rządu z kardynałem Hlondem, mającym upoważnienie Papieża.

Wszyscy prawnicy zgodzili się z moją interpretacją i niektórzy z nich wyrażali zdziwienie, że nikt wyciągniętych przeze mnie konsekwencji nie brał pod uwagę.

Mając za sobą opinię prawników, zorganizowałem akt podpisania osiągniętego porozumienia w ten sposób, że na wstępie podpisaliśmy z Hlondem tekst porozumienia w obecności kilku wyższych urzędników i przedstawicieli kleru. Następnie poprosiłem obecnych o opuszczenie sali, abym mógł zamienić parę słów poufnych z kardynałem Hlondem. Wtedy właśnie poinformowałem go, że, w myśl uzupełnienia do paragrafu 24 A Konkordatu, Kardynał Hlond wyrzekł się raz na zawsze pobierania dotacji zastrzeżonych przez brzmienie odpowiedniego ustępu Konkordatu do czasu załatwienia sprawy ziem martwej ręki. Miałem satysfakcję oglądając przerażenie, jakie się zarysowało na twarzy Hlonda, nie spodziewającego się takiego interpretowania sprawy tylko co uroczyście i zgodnie załatwionej. Po małej przerwie, wywołanej niespodziewanym moim oświadczeniem, zakomunikowałem Hlondowi, że zarówno Prezydent Mościcki, jak też szef rządu Sławoj-Składkowski wyrazili zgodę, aby nie brać pod uwagę przecoczenia prawników, działających w imieniu kleru. Rząd - oświadczyłem - w jednakowy sposób podejmuje swe zobowiązania w stosunku do wszystkich wyznań, a więc przede wszystkim do wyznania rzymsko-katolickiego, nie będzie więc interpretować uzupełnienia do paragrafu 24 A Konkordatu na niekorzyść Kościoła Katolickiego. Jest to dowód jak niesłuszne było stanowisko biskupów, odwołujących w ciągu kilkunastu lat załatwienie sprawy dóbr martwej ręki i sięgających poza granicami Polski nieprawdziwe wieści o negatywnym stosunku rządu do sprawy porozumienia z klerem. Oczywiście wspominałem o fałszywym informowaniu Watykanu o rozmyślnej parcelacji dóbr martwej ręki, zwłaszcza że interesy poszczególnych diecezji doprowadziły do wyrzeczenia się ziemi i otrzymania w zamian odpowiedniej sumy w rencie państwowej.

Można było spostrzec jakie wrażenie wywarło moje oświadczenie na Kardynale Hlondzie. Nie spodziewał się tego, że wykazaliśmy brak kompetencji jego doradców oraz okazaliśmy pewną wspaniałomyślność w stosunku do tych, którzy wyzyskiwali swój autorytet biskupi w grze, nie mającej nic wspólnego ze sprawami wiary, mającej natomiast bezpośredni związek z zagadnieniami ziemskimi - uposażeniem kleru.

Charakterystyka Ministerstwa Spraw Wojskowych

Wspomniałem w poprzedniej części tych wspomnień o wtrącaniu się generałów do licznych spraw, należących do kompetencji innych resortów, z resortami spraw wewnętrznych i oświatowych na czele. Przed śmiercią Piłsudskiego różnego rodzaju interwencje nie miały charakteru wybitnie reakcyjnych wystąpień. Po śmierci zaś Marszałka i w miarę rozwoju ideologii szerzonych przez Mussoliniego i Hitlera polityczne wystąpienia kliki wojskowych zmierzały do utworzenia rządów totalitarnych. Popieranie Piaseckiego w ruchu młodzieżowym zmierzało również do kreowania go na ideowego przewodcę młodzieży, Rydz-Śmigły, jeżeli nie marzył, to traktował zapewne na serio to, że bieg wypadków wkładał na niego obowiązek stania się wodzem narodu i rozkazodawcą ruchu totalitarnego. Jediną przeszkodą w realizacji tych „historią narzucanych zamierzeń” był wciąż urzędujący prezydent Ignacy Mościcki, którego nastawienie było wręcz przeciwnie, jeżeli chodzi o kreowanie wodza narodu i oddanie w jego ręce nieograniczonej władzy dyktatora.

Omawiając działalność Ministerstwa Spraw Wojskowych, nie podobna pominąć pobieżnego przynajmniej scharakteryzowania ministra Kasprzyckiego, który urzędował w okresie ostatnich lat przed najazdem Hitlera na Polskę. Był on bodaj najbardziej potępianym ministrem przez szerokie sfery społeczeństwa. Przyczyną tego było rozejście się z żoną, romans z artystką dramatyczną Kajzerówną, ożenek z nią i związane z tym tragicznym romansem, więcej aniżeli dopuszczalne, interesowanie się teatrem, właśnie w czasie, gdy trzeba było wyteńczyć wszystkie swe siły na wykorzystanie wszelkich możliwości doprowadzenia - w naszych niesłychanie trudnych i niesprzyjających warunkach finansowych, przemysłowych, surowcowych i, co najważniejsze, geograficznych - do jak najlepszego przygotowania całego kraju do odparcia grożącego nam niebezpieczeństwa.

Należy podkreślić, że wymienione wyżej niesprzyjające warunki obrony naszego kraju mogły, w gruncie rzeczy, doprowadzić do niemożności znalezienia jednostek, które by chciały brać na siebie obowiązki wodza naczelnego i ministra obrony narodowej. Każdy fachowiec w dziedzinie wojskowości, obeznany z całokształtem niemożliwych do przewyciężenia trudności, mógłby przytoczyć dość argumentów na to, że nie chce podejmować pracy z góry skazanej na niepowodzenia i katastrofę. To też nie umiem odpowiedzieć na pytanie, czy odbyła się kiedykolwiek narada najbardziej zaangażowanych ludzi, którzy by trzeźwo i bez żadnych niedopowiedzeń rozważyli szanse Polski na obronę kraju przed najazdem Hitlera i dalszymi konsekwencjami, wynikającymi z fizycznej niemożności obrony Polski, wobec wielkiej przewagi liczebności armii niemieckiej i jej technicznego uzbrojenia.

Historycy powinni zebrać materiały, zwłaszcza zaś wspomnienia osobiste, które ocalały od zagłady, lub które przechowały się poza granicami kraju, aby przeanalizować całość sytuacji zarówno Polski jak też Francji i Anglii. Zadanie to niełatwe, ale, dla odtworzenia całości zdarzeń, konieczne. Znamy wyniki ostateczne najazdu hitlerowskiego na Polskę, Francję, Związek Radziecki, znane są wyniki tych czy innych bitew, znamy też tekst tego, co o wojnie napisał Szef Sztabu Stanów Zjednoczonych, późniejszy Sekretarz Stanu Marshal, ale dalecy jesteśmy od tego, aby być w stanie dokonania obiektywnej analizy stopnia świadomości tych, którzy wzięli na siebie niepomierny ciężar odpowiedzialności za losy Polski.

Zdaję sobie sprawę z tego, że w historii powstań, walk proletariatu o swe prawa i o rewolucję społeczną mieliśmy za sobą bogatą w fakty i bolesną w skutkach przeszłość porywania się do czynów, prowadzących do strat, a nie do zwycięstw. W każdym takim bojowym wystąpieniu znajdowali się przywódcy, o których nie wiemy, czy stawali na czele z przekonaniem, że prowadzą lud do zwycięstwa, czy też jedynie do zmanifestowania protestu, chociażby za cenę wielkich strat.

Tak się złożyło, że od roku 1928 stale współpracowałem z wojskowością, o czym wspomnę w dalszych częściach tego pamiętnika. Dlatego też, mimo woli, miałem dość szczegółowe dane aby zdawać sobie sprawę z trudności, przed jakimi stoi Polska, której traktat Wersalski wytyczył granice nie zagwarantowane żadnym późniejszym aktem państw zachodnich.

Jest rzeczą jasną, że wszyscy zajmujący kluczowe i czołowe stanowiska w Polsce wiedzieli o tym, że Polska nie zdoła się obronić sama, bez pomocy sprzymierzeńców. Jednakże przez szereg lat mieliśmy na Zachodzie tylko jednego sprzymierzeńca - Francję. Nieznane mi są raporty naszego przedstawicielstwa we Francji. Gdyby odzwierciedlały rzeczywistość, musiałyby być pełne niepokojem i skrajnym pesymizmem. Po zawarciu traktatu Wersalskiego, wszystkie warstwy społeczeństwa francuskiego przeżywały okres najdalej posuniętego pacyfizmu. Linia Maginot'a stała się niejako gwarantką, tego, że Francja może poniechać wszelkich kroków, zmierzających do zapewnienia swego bezpieczeństwa - jeśli chodzi o Niemców. Nie pomogły nawet wystąpienia Hitlera, łamiącego traktat Wersalski niemal od pierwszej chwili ujęcia władzy nad Rzeszą Niemiecką.

Nasi zbrojeniowcy, wojskowi i cywilni, wiedzieli o lekkomyślnym zaniedbywaniu spraw związanych z pogotowiem wojennym Francji. Dyplomacja nasza powinna była wiedzieć jak mało popularna była sprawa Polski i zabezpieczenia jej przed najazdem Niemiec, przeżywających, od chwili podpisania traktatu pokojowego, psychozę obalenia tego traktatu za wszelką cenę.

Niewątpliwie Marszałek Piłsudski był poinformowany przez Becka, znienawidzonego przez dyplomację, przez sfery wojskowe, a pośrednio przez całe francuskie społeczeństwo za to, zapewne, że nie krył przed nami daleko idącej niechęci Francuzów do czynnego wystąpienia przeciwko Niemcom w obronie militarnej Polski.

Rozpaczliwy krok Marszałka Piłsudskiego, nazwany niesłusznie próbą szukania dróg porozumienia się z hitlerowskimi Niemcami, nie był niczym innym, jak ostrzeżeniem Francuzów przed zaniedbywaniem rozwijania przemysłu zbrojeniowego, należytego szkolenia armii i przed spontanicznie rozwijającym się pacyfizmem, obejmującym wszystkie warstwy społeczeństwa, włącznie z przenikaniem tej ideologii do szkół, a więc do nauczycielstwa i młodzieży.

Wobec wielu żądań natury ekonomicznej byliśmy w stosunku do Francji bardzo ustępliwi, nie wglądaliśmy lub reagowaliśmy nie dość energicznie na sposób eksploatacji przedsiębiorstw, opartych na kapitałach francuskich, mimo że kapitaliści francuscy wybijali się na czoło z bezwzględny, często bardzo krótkowzrocznym eksploatawaniu bogactw naturalnych Polski, z węglem kamiennym na czele.

Powstaje więc pytanie jakie plany miała do zrealizowania wojskowość w różnych okresach czasu, za życia i po śmierci Piłsudskiego. Rozpatrzenie tego zagadnienia wymaga najdalej posuniętej bezstronności. Po roku 1920 zrobiliśmy niewątpliwie znaczne postępy w produkcji materiałów wybuchowych, ręcznej broni i karabinków maszynowych, oraz produkcji sprzętu wojskowego i artyleryjskiego. Wszak zaczynaliśmy we wszystkich tych dziedzinach od początku. Wysłaliśmy na doszkolenie zarówno profesorów i oficerów, jak też inżynierów, doprowadziliśmy technikę do poziomu, jak na nasze warunki, dość wysokiego. W roku 1934 mieliśmy kadrę pracowników dostatecznie wykształconą do produkowania różnego rodzaju sprzętu wojskowego, nie ustępującego typom produkowanym w krajach, umożliwiającym nam wgląd w rodzaj ich broni. Nie mieliśmy natomiast dostatecznych informacji, jeżeli chodzi o zbrojenia niemieckie. Obawiając się ataków gazowych, doprowadziliśmy do opracowania masek ga-

zowych, gwarantujących zabezpieczenie żołnierza przed atakiem gazami konwencjonalnymi. Zywiliśmy obawy przed nowymi rodzajami gazów, o których rozpowszechniane były pogłoski, niedostateczne jednak, aby je móc syntetyzować.

Zbudowana została fabryka iperytu według wzoru użytego w Stanach Zjednoczonych A.P. sami doszliśmy do fabrykacji fosgenu i cyjanowodoru.

Wysiłki te wymagały znacznych środków, dlatego też należy stwierdzić, że całość naszego uzbrojenia była jakościowo niezła, ale pod względem ilościowym zupełnie niedostateczna. O tym na pewno był dobrze poinformowany Marszałek Piłsudski, a po jego śmierci, Wódz Naczelny Rydz-Śmigły, oraz minister Kasprzycki. Rzecz prosta skromne nasze wyposażenie nie tylko wojsk polowych, ale także lotnictwa, nie mogło doprowadzać do optymistycznych poglądów na to, co nas czeka w chwili wybuchu wojny. To też odpowiedzialne czynniki w Polsce miały do wyboru dwie alternatywy: albo bez ogródek przedstawić zarówno izbom ustawodawczym, jak też społeczeństwu rozpaczliwy stan naszej obrony, albo ukryć go przed narodem tylko dlatego, aby żołnierz nie szedł do boju bez entuzjazmu, bez nadziei wygrania bitew, wreszcie, aby opinia świata nie miała argumentów przemawiających przeciwko niepodległemu bytowi Polski, nie chcąc się bić o swoją własną wolność.

Przypuszczam, że takie były nastroje i przekonania czynników decydujących o takim, a nie innym postępowaniu przed napaścią Hitlera i w chwili zbrojnego napadu bez ogłoszenia stanu wojny.

Gdy spoglądam wstecz na przeżyte ciężkie chwile, staje przede mną sprawa porównania zachowania się Czechosłowacji i Polski w pamiętnym okresie wypadków w Monachium, rezygnacji Czechosłowacji z beznadziejnej wojny oraz zachowania się Polski w tym samym okresie. Chcę też bezstronnie i beznamietnie rozważyć sprawę dojścia do porozumienia z Francją i Anglią na krótko przed napaścią Hitlera na Polskę. Sytuacja Francji i Anglii była podobna do tej, przed jaką stanęły nasze decydujące czynniki w stosunku do własnego kraju.

Gdyby mogła być mowa o szczerości, Francja i Wielka Brytania powinny byłyby oświadczyć, że „nie jesteśmy gotowi do udzielenia pomocy Polsce natychmiast po wybuchu zatargu zbrojnego pomiędzy Niemcami a Polską. Podpisujemy akt gwarantujący granice Polski i naszą pomoc militarną, z tym jednak zastrzeżeniem, że oba nasze kraje nie są przygotowane do wojny, że musimy mieć czas dostatecznie długi, aby się do wojny należycie przygotować. Wiedzieć także, że Francja wojny nie chce, stać będzie za linią Maginot'a, a Anglia nie może zapewnić Polsce obrony lotniczej, gdyż ma bardzo małą liczbę bombowców, przy tym społeczeństwo angielskie tradycyjnie umie walczyć o swoją ojczyznę, a nie o cudzy kraj, który historycznie nigdy nie był ani dość bliski, ani dość poznany, ani wreszcie dość drogi sercu tego, który miałby być gotów oddać swe życie za wolność tego kraju”.

Rzecz prosta, że ani nasz naród, ani Francuzi, ani też Anglicy nie byli poinformowani o nieprzygotowaniu pod względem uzbrojenia Francji i Anglii o bardzo znacznej różnicy liczebności armii niemieckiej i naszej i jeszcze większej różnicy w wyposażeniu wojsk polowych i lotniczych. Społeczeństwo polskie oczeki-

wało doraźnej, szybkiej i skutecznej pomocy od naszych sprzymierzeńców, wówczas, gdy pomocy tej oba wymienione wyżej kraje w rzeczywistości dać nie mogły.

W chwili, gdy piszę moje wspomnienia, ogłoszono poza granicami Polski liczne materiały, obrazujące kampanię wrześniową r. 1939; jako nie fachowiec i nie znający całości istniejących publikacji w tej dziedzinie, przechodzę do osobistego, może jednostronnego poglądu na postępowanie i charakter generała Kasprzyckiego, który niemal na równi odpowiedzialny był, nie za wynik walki z Niemcami, bo ten był przesądzony, ale za przerażająco krótki czas trwania tej kampanii. Pod tym względem zaznaczyła się wielka różnica poglądów, zwłaszcza w okresie poprzedzającym porażkę wojsk francuskich, gdy Niemcy zdołali ominąć linię Maginot'a i również w przerażająco krótkim czasie dojść do Paryża i zająć go.

W istocie dopiero porażka Francji, krótko stawiany i nie dość silny opór wojsk francuskich wyjaśnił, nie tylko strategom, ale również narodom walczącym i nie walczącym, że Niemcy mieli przygotowaną, dokładnie opracowaną metodę pokonywania wojsk nieprzyjacielskich. Okazało się, że ani Polska ani Francja nie umiały rozegrać bitwy, mającej na celu nie wygranie wojny - bo to było niemożliwe - ale przedłużenie czasu toczących się działań.

Do chwili zwycięstwa wojsk niemieckich we Francji mieliśmy złą opinię w całym świecie, przy czym najcięższe zarzuty wysuwano przeciwko dowództwu polskiemu u nas, w Polsce. To też w chwili obecnej stosunek do Rydza Śmigłego i gen. Kasprzyckiego oparty jest w oczach nie fachowca na ich postawie nie w czasie wojny, lecz przed najazdem Hitlera.

Jest rzeczą prawdopodobną, że Rydz Śmigły stawiał najwięcej na uczucia patriotyczne żołnierza i oficera polskiego. W naszym narodzie rozwijano od wieków przekonanie, że nie tyle środki techniczne i nowoczesne uzbrojenie, ile gorący patriotyzm, odwaga i poświęcenie życia dla sprawy i dla Ojczyzny może mieć na polu bitwy decydujące znaczenie. Ten punkt widzenia i głębokość przekonania Marszałka Rydza-Śmigłego skłaniały go do pozyskiwania młodzieży akademickiej. Prawdopodobnie wierzył, że obowiązkiem jego jest pozyskanie młodzieży dla siebie, jako dla naczelnego wodza. To jego przekonanie było powodem, że żądał od resortu oświaty wszelkich ustępstw na rzecz młodzieży, dopuszczającej się gwałtów na swych kolegach Żydach i postępowej części studentów, protestujących przeciwko szerzącym się gwałtom. Wszystkie starcia, jakie miałem z Rydzem-Śmigłym, wynikały z różnicy poglądów na sprawę stosowania metod pozyskiwania sympatii młodzieży, których racjonalność stawiałem pod dużym znakiem zapytania. Walka z postępowym ruchem nauczycieli, zainicjowana przez Rydza-Śmigłego, nie tylko była szkodliwa dla państwa w stanie pokoju, ale nie przyczyniała się do rozbudzenia uczuć, o które chodziło naczelnemu wodzowi naszego wojska. Widziałem jak uniemożliwiano wykrycie tych, którzy byli winni zamordowania młodego studenta - Żyda - we Lwowie. Nie byłem też nigdy pewien, czy policja spełni swe obowiązki utrzymania porządku, gdy będzie chodziło o niedopuszczalne wybryki młodzieży. Byłem gotów do wypowiedzenia walki z ultranacjonalistyczną młodzieżą, włączając naruszenie nietykalności terytorium, znajdującego się pod władzą rektorów, nie mogłem jednak nic uczynić, gdyż napotykałem zdecydowany, jawny i niejawny opór władz, któ-

re słuchały raczej rozkazów dawanych przez czynniki stojące poza moją kompetencją. Zgłaszanie mej rezygnacji nie było uwzględniane, a rozmowy z premierem Składkowskim nie doprowadzały do żadnych rezultatów. Rzecz prosta była w tym ręką i nacisk naczelnego wodza, względnie najbliższych jego współpracowników.

Jaka więc była ostatecznie rola Kasprzyckiego? Mam nadzieję, że wojskowi, opracowujący całość zagadnień w okresie dwudziestolecia - zwłaszcza od momentu śmierci Marszałka Piłsudskiego do najazdu Hitlera - wyjaśnią, jakie zadania powierzone były bezpośrednio Kasprzyckiemu, jako Ministrowi Spraw Wojskowych. Być może popełniam błąd, wysuwając przypuszczenie, że miał on bardzo ograniczone pole do działania. Prawdopodobnie powierzono mu zadania, mające raczej pośredni, a nie bezpośredni związek ze zbrojeniem armii. Moje rozmowy z Kasprzyckim - pomijając bardzo przykrą, rażącą jego chęć ingerowania w sprawy teatralne, związaną ze stosunkiem z artystką Kajzerówną - dotyczyły niemal wyłącznie problemów badań historycznych, etnograficznych i w ogóle kulturalnych. Kasprzycki występował tu jako typowy humanista, a nie wojskowy. Miałem wrażenie, że żądania jego, aby profesura opracowywała liczne zagadnienia szczegółowych badań różnych dzielnic polskich i graniczących z Polską, były rozsądne i świadczyły więcej o jego upodobaniach, niż o przekazywaniu dezyderatów, wysuwanych przez dowództwo. Wszystkie te problemy nosiły wyraźnie charakter długofalowych, a więc obliczonych na efekty, nie związane bezpośrednio z narastającą z dnia na dzień groźbą wojny.

Dla radykalnie patrzącego na zagadnienia naszej obrony takie zainteresowania ministra spraw wojskowych wydawały się nie na czasie. Wciągnięcie jednak do tej pracy profesorów humanistów, którzy - ze względu na specjalność - nie mogli nic uczynić dla spraw, związanych z obroną kraju, wydawało się pożyteczne. Jeżeli zaś chodzi o prace użyteczne dla wojska, to należało szukać innych kontaktów zarówno po śmierci, jak też w okresie słabnących sił Marszałka Piłsudskiego.

Reasumując wrażenia moje, dotyczące Kasprzyckiego, miałem mu dużo do zarzucenia jako człowiekowi, który dał się porwać namiętnościom i nie panował nad sobą, gdy chodziło o bezpośrednie interesy Kajzerówny. Nie widziałem w nim odpowiedniego człowieka do zajmowania stanowiska kierownika resortu tak ważnego, jak sprawy wojskowe. Uważałem natomiast za celowe prowadzenie badań naukowych i szczegółowego poznania poszczególnych dzielnic Polski oraz terenów nie objętych granicami naszego państwa. Nie omawiałem z nim zagadnień, związanych w ten czy inny sposób z możliwością wyzyskania chemii fizycznej do rozwiązywania problemów, związanych ściśle z obroną kraju.

Tytuł tego rozdziału wskazuje na to, że zamiarem moim było nie tylko oświetlenie zagadnień ogólnych, związanych z pełnieniem funkcji ministra oświaty, ale wynikających z roli odgrywanej przez ministerstwo spraw wojskowych w okresie od 1918 do jesieni 1939 r. W tym znaczeniu należy podkreślić, że przesadnie jest twierdzenie o wpływie polskiej burżuazji na ogólny rozwój przemysłu, rolnictwa, a zwłaszcza nauki i jej zastosowań technicznych. Ludzie, których można było uważać za należących do burżuazji, gotowi byli zająć się rozwojem tej czy innej gałęzi przemysłu, ale tylko kosztem kredytów udzielanych przez skarb pań-

stwa. Kapitalistów w znaczeniu zachodnio-europejskim mieliśmy tak mało, że o rozwoju przemysłu - unowocześnionego w rozmiarze i w skali ówczesnej - mowy być nie mogło. Istniejące przedsiębiorstwa, zwłaszcza górnictwo, hutnictwo i przemysł tekstylny znajdowały się pod znaczną presją obcego kapitału. W wielu przypadkach polscy dyrektorzy naczelni fabryk i wytwórni byli reprezentantami interesów obcych i nie mieli możliwości walczyć w należyty sposób o żywotne interesy rodzimego przemysłu. Dlatego też na skarb państwa spadał obowiązek dopomagania w rozwoju nowych wytwórni, nowoczesnych fabryk i ich podbudowy w postaci instytutów badawczych i innych pracowni naukowych.

Wielkim wysiłkiem było zbudowanie portu gdyńskiego. Naród polski powinien pamiętać, że inicjatywa i zrealizowanie budowy portu w Gdyni należy do jednego z najwybitniejszych umysłów i działaczy polskich - Eugeniusza Kwiatkowskiego - który w ciągu kilku lat był Ministrem Przemysłu, a następnie Wicepremierem i Ministrem Skarbu w okresie od 1935 do września 1939 r. włącznie. Jednakże jedna z dróg, która umożliwiła badania naukowe i realizację wielu pomysłów technicznych prowadziła poprzez każdorazowego wiceministra spraw wojskowych. Jeżeli bezpośrednio nie można było zdobyć funduszków na zrealizowanie czegoś, co miało chociażby tylko pośrednie znaczenie dla ministerstwa spraw wojskowych, pozostawała jeszcze możliwość szukania dróg poprzez wytwórnie uzbrojenia, czerpiące swe środki w Departamencie Uzbrojenia.

We wspomnianych instytucjach wojskowych nie było nic z polityki, związanej z wtrącaniem się do działalności czy to resortu ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego, czy też resortów innych z ministerstwem spraw wewnętrznych na czele.

Wiceminister spraw wojskowych stał z reguły z dala od polityki. Jeżeli miały miejsce jakieś rozgrywki, były one natury personalnej, wynikały częstokroć z powodu starć czynników wojskowych ze specjalistami cywilnymi. Wpływ „pułkowników” dawał się we znaki również w tej części administracji wojskowej, przejawiał się jednak z mniejszym stopniem, zwłaszcza gdy sama rozgrywka napotykała na zdecydowany opór Prezydenta Mościckiego.

W tej też części administracji doszło do wyłomu od reguły tak bardzo typowej i szkodliwej w naszej polskiej rzeczywistości. Chodzi tu o rolę, jaką powinni odgrywać w państwie nowoczesnym wybitni uczeni, technicy i wszelkiego rodzaju wysoce wykwalifikowani eksperci, włączając w to wąsko wyspecjalizowanych wszelkiego rodzaju rzeczoznawców. Nabyłem sobie wśród wybitnych „pułkowników” zaciętego wroga, gdy na jednym z zebrań Komisji Senackiej wysunąłem postulat, że każde posunięcie nasze, każdy projekt ustawy, dotyczącej zwłaszcza rozwoju gospodarczego i przemysłowego powinien być przejrany przez najlepiej wykwalifikowanych znawców danej dziedziny, wiedzy prawodawczej i zwłaszcza techniki. Ponieważ profesura była najczęściej czerwoną płachtą dla przedstawicieli politycznych ówczesnego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, podkreślenie przeze mnie wyrazu „wysoce kwalifikowany znawca przedmiotu”, znaczyło tyle, co wysunięcie na czoło przedstawicieli nauki, a więc w znacznej części profesury. Reakcja na moje wystąpienie była gwałtowna i bezapelacyjna. Muszę zaznaczyć - chcąc być bezstronny - że profesorowie nasi - w swej większości przynajmniej - nie byli przygotowani do wywierania tego wpły-

wu, jaki wywierają uczeni w innych krajach, zwłaszcza w chwili, gdy piszę te wspomnienia. Ma to swoje usprawiedliwienie w historii Polski po jej rozbiore. Uczony był w tym czasie odcięty od wszelkiego niemal wpływu na rozwój gospodarczy i przemysłowy kraju. Szczycił się tym, że prowadzi swe badania podstawowe, nie widząc przed sobą życia praktycznego, ponieważ ośrodki nadające kierunek rozwojowi krajów zaborczych dążyły raczej do najdalej posuniętego ograniczenia postępu technicznego i gospodarczego poszczególnych zaborów. Bariery celne uniemożliwiały ziemiom zagarniętym przez Rosję korzystanie z własnych polskich surowców, jak np. z pokładów soli w Bochni i Wieliczce. Taryfy przewozowe i inne sztucznie stwarzane trudności doprowadziły do tego, że największa grupa metalurgów polskich skupiła się w Kamienskoje i innym ośrodku zagłębia donieckiego. Na parę lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej fabryka Rudzkiego z całym niemal personelem inżynierskim i robotniczym musiała się przenieść z Warszawy do zagłębia donieckiego, gdyż carski rząd stworzył warunki, uniemożliwiające utrzymanie tej fabryki na ziemiach polskich.

Polska Akademia Umiejętności ma wielkie zasługi w zakresie rozwoju nauki polskiej, jednakże nie potrafiła stworzyć zbliżenia naukowców do gospodarczego życia kraju. W okresie dwudziestolecia międzywojennego czynione były wysiłki, aby naprawić ten stan rzeczy. Formalnie, zarówno Polska Akademia Umiejętności, jak też tzw. Stowarzyszenie Naukowe Akademickie utworzyły Komitet Porozumiewawczy, którego celem miało być słuzenie wiedzą i pracą badawczą zacofanej Polsce w jej rozwoju technicznym, rolniczym i ogólnogospodarczym, posiedzenia Komitetu sprowadzały się jednak do wypowiedzianych słusznym zresztą - żalów na skromne dotacje naukowe, udzielane przez rząd.

Ponieważ brałem czynny udział w akcji stworzenia Komitetu Porozumiewawczego, zarówno przed, jak też po objęciu teki ministra oświaty, przemówienia moje wyrażały najczęściej gorzki żal i krytykę tych, którzy przewodzili „pracom” Komitetu, nie dającym praktycznie żadnych efektów konkretnych.

Piszę o tym w tym rozdziale mych wspomnień dlatego, że zarówno pierwszy zastępca ministra wojny, jak też departament uzbrojenia poczynili pierwsze kroki dla utworzenia komitetów doradczych. Poza tym ta część resortu łożyła znaczne sumy na prace naukowe, związane z obroną przeciwgazową, ratownictwem ludzi zatrutych lub poparzonych (np. iperytem) oraz z rozwojem metalurgii, jako podstawy rozwinięcia i unowocześnienia naszych wytwórni uzbrojenia. Zarówno Instytut Przeciwgazowy (na Ludnej), jak też Instytut Metaloznawstwa, praktycznie połączone z Katedrą i Zakładem Metaloznawczym Politechniki Warszawskiej, miały swoje komitety naukowe, systematycznie współpracujące i kontrolujące osiągnięcia i plany rozwoju tych instytutów. Niezależnie od tego, w czasie gdy Sławoj Składkowski pełnił funkcje Wiceministra Spraw Wojskowych, odpowiedzialnego za wszystkie prace związane z uzbrojeniem armii, utworzone zostało ciało doradcze, mające opiniować i wypowiadać swe własne poglądy we wszystkich sprawach, związanych z rozwojem tych działów techniki, które miały znaczenie dla uzbrojenia. O ile pamiętam, do składu Komitetu wchodził następujący profesorowie: K. Smoleński (chemia i synteza chemiczna), B. Stefanowski (mechanika w ogóle, energetyka i gospodarka cieplna), M. Wolfke (fizy-

ka), J. Groszkowski (telekomunikacja, elektronika, służba łączności), Witoszyński (lotnictwo), W. Świętosławski (chemia fizyczna, fizykochemia węgla, koksownictwo).

Z ramienia Ministerstwa Spraw Wojskowych stałym łącznikiem był pułk. Witkowski, poza tym udział w posiedzeniach brali oficerowie wywiadu (bywał szef wywiadu Pelczyński) oraz każdorazowo zapraszani przedstawiciele poszczególnych Wydziałów Departamentu Uzbrojenia. W przypadkach omawiania zagadnień szczególnie ważnych brał udział wiceminister spraw wojskowych, lub delegowani przez niego oficerowie.

Zostało z góry ustalone, że, z chwilą ustąpienia z prezydentury profesora I. Mościckiego, będzie on przewodniczącym Komitetu, do tego zaś czasu powierzono mi pełnienie tych funkcji. Członkowie Komitetu nie byli poinformowani o tym formalnie, a więc ja przewodniczyłem w chwili utworzenia Komitetu. Po mojej nominacji na ministra oświaty przewodnictwo objął prof. B. Stefanowski.

W ten sposób dokonany został pierwszy wyłom w tradycji pomijania i wyłączenia od udziału uczonych i fachowców, którzy w granicach polskich - więcej niż skromnych - możliwości, służyli swą wiedzą i znajomością literatury światowej w dziedzinach bezpośrednio lub pośrednio związanych ze specjalnością poszczególnych członków Komitetu.

Rozpoczęcie prac Komitetu było zainicjowane krótkim, zwięzłym przemówieniem Sławoja-Składkowskiego, który w ogólnych zarysach sformułował zadania Komitetu.

Przyglądając się składowi Komitetu, można spostrzec, że brakowało w nim nazwisk metalurgów i metaloznawców, mimo, że mieliśmy takich specjalistów jak Broniewski, Czochrański i inni. Powodem było pominięcie tych, którzy przez swój wyjątkowo ciężki charakter (W. Broniewski) mogli praktycznie uniemożliwić efektywność pracy Komitetu, lub tych, którzy nie byli fachowcami w metalurgii żelaza i stali (J. Czochrański). Zresztą Komitet Naukowy, działający przy Instytucie Metalurgii i Metaloznawstwa, mógł poprzez Departament Uzbrojenia przekazywać zagadnienia w ten czy inny sposób związane z podstawowymi problemami, będącymi zazwyczaj tematami przedstawianymi do dyskusji Komitetowi Naukowemu przy Wiceministrze Spraw Wojskowych, odpowiedzialnym za wszystkie bezpośrednie i pośrednie sprawy uzbrojenia armii.

Spoglądając wstecz i oceniając prace Komitetu Naukowego, dyskutować można - jak zawsze w Polsce i w innych krajach - dobór ludzi, będących bezpośrednimi łącznikami z Wiceministrem. Wydaje się, że pułk. Witkowski nie był najlepiej wybrany do tego celu. Był on zdolny, łatwo chwytający istotę poruszanego zagadnienia, ale był zarozumiałym egotystą, bezwzględny w usuwaniu z pola widzenia wszystkich innych z wyjątkiem siebie. Ponieważ nie mieliśmy bezpośredniej kontroli co i jak referuje Witkowski swym zwierzchnikom, sądzę, że nie umiał i nie chciał wysuwać pozytywnych wyników pracy Komitetu, wolał zapewne wyzyskać każdą okoliczność, aby zasługi pracy Komitetu przedstawiać jako osiągnięcia własne lub przez siebie sugerowane. Ci, którzy na podstawie własnych doświadczeń charakteryzowali osobę pułk. Witkowskiego wypowiadali się bez wyjątku raczej ujemnie, jako o człowieku nie przebiegającym w śród-

kach, wiodących do jego osobistych celów. Nawet bezpośredni zwierzchnicy wyrażali w tym względzie swe zastrzeżenia.

Gdy po Sławoju Składkowskim objął jego stanowisko generał Litwinowicz, bywał on sam na posiedzeniach Komitetu. Wówczas powaga pracy Komitetu wzrosła.

Trudno jest zdać sprawę z osiągnięć Komitetu. W polskiej rzeczywistości najlepsze rady i opinie, wskutek ograniczonych środków pieniężnych, przeważnie nie doprowadzały do realizacji takich nawet zaleceń, które były dla wszystkich oczywiste i niezbędne. Przytoczę jeden przykład, który znam najlepiej, gdyż mnie powierzono zreferowanie tej sprawy. W latach 1934-1935 chodziło o definitywne rozwiązanie sprawy własnej wytwórni aluminium. Miałem poufne informacje, że komuś zależało na tym, aby referat mógł być skrytykowany w celu skompromitowania całego Komitetu Naukowego. Poświęciłem opracowaniu referatu wiele pracy. Prezydent Mościcki udzielił mi szczegółowych danych o rozmowach z przemysłowcami zagranicznymi w celu zakupienia gotowej licencji. Przedstawiłem w porozumieniu z prof. J. Zawadzkim i kierownikiem działu nieorganicznego i elektrochemii, Doktorem L. Wasilewskim, stan prac nad zastąpieniem boksytu tlenkiem glinu, otrzymywanym z polskiego surowca - gliny. Przedstawiłem również podstawowe dane o wysokości inwestycji oraz o stanie przerobu prowadzanego aluminium na potrzebne nam wyroby. Referat zyskał aprobatę kolegów i - jak mnie poinformowano - „wyratował honor” Komitetu wbrew intencji tych, którzy temat ten ze złośliwym zamiarem nam przekazali.

Inne opracowania Komitetu i wypowiedzane opinie były przyjmowane i uznawane za słuszne. Niestety nawet projekty nie mogły być zrealizowane w powodu najazdu Hitlera, lub ich realizacja nie mogła wyjść poza skalę zbyt małą w porównaniu z naszymi zapotrzebowaniami. Często mogliśmy się pochłubić naszymi osiągnięciami w dziedzinie prac podstawowych, nigdy natomiast nie osiągnęliśmy rozmiarów realizacji planów w skali rzeczywistych potrzeb.

Budowa portu w Gdyni była jedynym wielkim sukcesem E. Kwiatkowskiego, męża stanu na miarę światową, gorącego patrioty, który potrafił w odpowiednim czasie ująć w swe ręce sprawę stworzenia bazy morskiej, będącej konkurentem niechętnego dla nas wolnego miasta Gdańska, który wolny był w tym znaczeniu, że robił wszystko, aby walczyć z żywotnymi interesami Polski. Zasadnicza idea Wilson'a zabezpieczenia Polsce „dostępu do morza” - w interpretacji traktatu Wersalskiego i wobec ultranacjonalistycznej polityki Niemców, jak też ludności niemieckiej w Gdańsku - została całkowicie wypaczona. Dopiero prawdziwy port Polski w Gdyni był posunięciem imponującym nawet tym, którzy widzieli w Polsce jedynie wady, niedołęstwo lub nieumiejętność dokonywania czynów o wielkim znaczeniu gospodarczym i politycznym.

Minister bez poparcia partii politycznej

Objęcie resortu oświaty utożsamiałem z obowiązkiem dokonania próby (nie tylko) usunięcia licznych zażaleń, wysuwanych przez szerokie masy społeczeństwa, a związanych z posunięciami mych dwóch poprzedników - braci Jędrzejewiczów - którzy nie ze złej woli, ale - jak mi się zdawało - z powodu niezrozu-

mienia właściwego kierunku, opartego przede wszystkim na ścisłych danych statystycznych, z drugiej zaś strony na znajomości roli nauki i pracy badawczej w uczelniach akademickich, wprowadzali reformy szkolnictwa i autonomii szkół akademickich. Odziedziczyłem po mych poprzednikach reformę szkolnictwa średniego, która została uchwalona przez ciała ustawodawcze, a więc musiała być realizowana. Poczyniono kroki, aby zorganizować młodzież akademicką, popierającą politykę, nie cieszącą się uznaniem szerokich mas społeczeństwa. Usiłowano w kołach profesury znaleźć grupę takich, którzy wyrażać będą swą sympatię dla polityki, pełnej zastrzeżeń i krytyki w stosunku do większości profesorów.

Wpływ państw totalitarnych - Włoch i Niemiec - sprzyjał przede wszystkim rozwojowi ultranacjonalizmu wśród większości młodzieży akademickiej. Ponieważ zaś ultranacjonalizm rdzennej ludności połączony jest zawsze z rozwijaniem nienawiści do mniejszości narodowych, w konsekwencji szerzył się u nas przede wszystkim antysemityzm oraz niechęć do innych mniejszości.

Zdawałem sobie dobrze sprawę z tych wszystkich ciężarów, jakie spadną na tego, kto odziedziczy po dwóch poprzednich ministrach oświaty cały, niezmiernie złożony kompleks problemów, których pomyślne rozwiązanie wydawało się wręcz niemożliwe.

W perspektywie czasu decyzją moją przyjęcia na siebie obowiązków ministra oświaty, powziętą jedynie na życzenie Prezydenta Mościckiego w okresie bardzo ciężkim, uważam za wielki błąd polityczny. Byłem naiwny, gdy sądziłem, że można sprawować funkcje polityczne, nie mając zagwarantowanego poparcia chociażby jednej jakiejś partii politycznej. Mimo przekonań radykalnych - a w latach młodzieńczych raczej skrajnie radykalnych - nie należałem formalnie do żadnej partii. Poznawałem dobre i złe strony tych czy innych partii i gotów byłem pracować w dziedzinach, w których się godziłem z danym ugrupowaniem politycznym, pozostawiałem zaś sobie swobodę działania, gdy nie godziłem się czy to w poglądach, czy też w taktyce. Tak było za czasów studenckich. To samo nastawienie pozostało dominującym sposobem postępowania w dalszej mej pracy. To też przez cały czas mego urzędowania byłem atakowany przez wszystkich, począwszy od Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, kończąc na endecji, ugrupowaniach reakcyjnych, młodzieży, profesurze. W tych lub innych momentach widziano te lub inne osiągnięcia kierowanego przeze mnie resortu, ale musiano sobie zadawać pytanie kim-że w istocie jest ten człowiek.

W rzeczywistości nie jest rzeczą korzystną pracować na stanowisku politycznym typowemu nie-politykowi. Nawet urzędnicy, mający z ministrem bezpośredni kontakt, nie mogli mnie zakwalifikować. Dla postępowców byłem klerykałem, dla studentów - masonem, dla profesury - „sanatorem”, dla polityków lewicowych - konserwatystą. Na jedno zgadzali się wszyscy - byłem mianowany przez Prezydenta Mościckiego i w Zamku znajdowałem bezpośrednie poparcie ad personam. Rzecz prosta takie poparcie w politycznych rozgrywkach nic znaczyć nie mogło, z wyjątkiem tego wyjątkowego przypadku, który charakteryzował dwa gabinety w latach 1935-1939. Pierwszy rząd utworzony przez Prezydenta, na podstawie nadanych mu uprawnień przez Konstytucję, ale bez uzgodnienia z Rydzem-Śmigłym, naczelnym wodzem sił zbrojnych, nie utrzymał się długo. Drugi rząd utworzony był na podstawie porozumienia z Rydzem-Śmi-

głym. Był on „koalicyjny”, ale nie w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, lecz w swoistym innym, polegającym na tym, że część ministrów znajdowała całkowite poparcie Prezydenta, część zaś Naczelnego Wodza. Izby ustawodawcze były za słabe, aby po śmierci Marszałka Piłsudskiego, wobec groźby wojny, mogły brać na siebie odpowiedzialność za tworzenie rządu koalicyjnego, również nie w znaczeniu partii - bo był to twór pod względem podziału na partie raczej niezwykle - ale w znaczeniu podziału portfeli najlepiej odpowiadającym większości. Dlatego też w okresie od r. 1935 do najazdu Hitlera nie było nigdy sytuacji, w której mogłaby być mowa o głosowaniu i wyrażeniu nieufności całemu rządowi lub jednemu czy kilku jego członkom. To też przez cały czas toczyła się swojego rodzaju walka podjazdowa, dochodząca np. do tego, że moje przemówienie w Sejmie, skierowane do społeczeństwa Małopolski Wschodniej, nie było ogłaszane drukiem w prasie lwowskiej.

Chociaż we wspomnieniach moich usiłuję unikać jak najbardziej tego, co jest związane z moim osobistym życiem muszę, rzucając na siebie słowa potępienia za to, że nie odmówiłem Prezydentowi Mościckiemu i wszedłem w skład dwóch gabinetów, wysunąć inną, całkiem przypadkową, dodatnią stronę tego, że w chwili wybuchu wojny byłem ministrem, zmuszonym do opuszczenia kraju i wyjazdu do Stanów Zjednoczonych A.P. W istocie, siedmioletni pobyt mój w Ameryce doprowadził nie tylko do tego, że mogłem tam ogłosić w języku angielskim trzy monografie naukowe, zawierające niemal cały dorobek naukowy kilku zespołów moich współpracowników z wymienieniem nazwisk około sześćdziesięciu polskich naukowców - ale także do poznania słabych stron w rozwoju fizykochemii podstawowych surowców organicznych, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak też w Europie. Ta właśnie okoliczność umożliwiła mnie i moim współpracownikom stworzenie w Polsce nowego, nie uprawianego dotychczas przez nikogo, kierunku badań fizykochemicznych, które przyniosły również pewne efekty w bardziej racjonalnym i bardziej rentownym wyzyskaniu smoly węglowej - najbogatszym pod względem tonażu - polskim surowcu organicznym.

Tak więc mój błąd - popełniony przez wzięcie na siebie kierownictwa resortu oświaty bez poparcia jakiegokolwiek bądź partii politycznej - doprowadził w nauce i technice polskiej do pewnych pozytywnych efektów. Zawdzięczamy to entuzjastom moich młodych współpracowników, którymi byłem otoczony od roku 1947 do chwili obecnej. Zarodek jednak idei przewodnich powstał w USA, w czasie rozwiązywania kilku tematów przy użyciu przede mną tych czy innych metod fizykochemicznych, nie wyzyskanych do tego czasu lub wyzyskanych połowicznie, w pracach nad rozdzielaniem i oczyszczaniem składników zawartych w smole węglowej, otrzymywanej jako produkt uboczny w procesie otrzymywania koksu z węgla kamiennych.

Przyjęcie na siebie ciężaru kierowania resortem oświaty i opór, na jaki natrafiłem w sferach politycznych i w rutynie świata urzędniczego, doprowadziły łącznie do wyteźonej, uporczywej pracy, skierowanej przede wszystkim na poznanie wielu słabości, wynikających głównie z tego, że w gruncie rzeczy pracowaliśmy wszyscy w Polsce odrodzonej bez dłużejletniej tradycji, jaką zapewnia niepodległy byt kraju, nawet nie koniecznie rządzonego z głęboką znajomością sztuki rządzenia. Nabyte w Małopolsce doświadczenie, w ramach skromnej, nie-

zupelnej autonomii i przy bardzo wielkiej „galicyjskiej biedzie” było o wiele niedostateczne, a biurokracyzm austriacki był raczej kulą u nogi tego, kto chciał szukać wskazań jak kierować resortem, nie łatwym do prowadzenia, zwłaszcza, że obok trudności wynikających z rozbieżności (natrafianych) zdarzających się w polityce wewnętrznej, każdy świadom rzeczywistego stanu rzeczy musiał się liczyć z polityką dywersyjną, pochodzącą z zewnątrz.

Rozmawiając w Ameryce z wybitnym profesorem historii powszechnej, zapytałem go czy uświadamiane jest ogólne, niemal przyrodzone prawo, że każdy panujący autokrata lub jego rząd czynił wszystko co było możliwe do uczynienia, aby budzić zamęt, niepokój, rozruchy i w ogóle wszystko to, co mogło osłabić lub też zakłócić spokój w krajach ościennych. W czasie mego urzędowania rozumiałem znaczenie słów, użytych w jednym z wystąpień Marszałka Piłsudskiego, w którym mówił on o obcych agenturach. Państwa słabsze, zwłaszcza o niejednorodnej strukturze narodowościowej, a do takich należała Polska w latach 1918-1939, są z reguły narażone na działanie wpływów obcych. Im bardziej złożona jest struktura narodowościowa kraju, im gorsze rozmieszczenie mniejszości narodowych w tych lub innych dzielnicach, a nawet wsiach i miastach, tym łatwiejsze jest mączenie wywierane przez wpływy obce. Na wędkę antagonizmów narodowościowych łapano się również te lub inne części rdzennej ludności, nie umiejącej zrozumieć, że ich własny skrajny nacjonalizm - zwłaszcza, gdy się przekształca w nacjonalizm wojujący - jest najcenniejszym osiągnięciem tajnych agentur. Kierownik tego czy innego resortu powinien panować nad sobą i milczeć wówczas nawet, gdy ma pewność wytężonej pracy obcych agentur. Uporczywe szukanie sposobów złagodzenia napięcia popełnianych gwałtów, a nawet zbrodni, jest jedyną drogą, tak często stosowaną np. przez Anglików. Nie płynie jednak w naszych żyłach krew Brytyjczyków, to też walka z atakiem na nieszczęsnego członka rządu jest i będzie chyba zawsze w Polsce cięższa, aniżeli w innych krajach, mających za sobą zdobyte doświadczenie.

Poczuwam się do winy zastosowania metody połowicznych rozwiązań węzłów gordyjskich, których niepodobna było w ogóle rozwiązać. Akcja skrajnej prawicy nacjonalistycznej wśród młodzieży doprowadziła do rozruchów antysemitycznych we wszystkich szkołach akademickich. Zwołałem Zjazd Rektorów i dałem im, jako mającym w swym autonomicznym zarządzie nie tylko sale wykładowe, ale też dziedzińce i inne tereny objęte „autonomiczną władzą” rektora i senatu, możliwość wydawania własnych zarządzeń, zmierzających do walki z antysemityzmem. Miałem wówczas całą świadomość, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie chce wkroczyć na tereny szkół akademickich, gdyż doprowadziłoby to do burzliwych starć, a nawet rozlewu krwi na jednych uczelniach lub do obojętnego przyglądania się gwałtom młodzieży na innych.

Pobłażliwa postawa naczelnych władz wojskowych w stosunku do skrajnej, nacjonalistycznej młodzieży odebrała wszelką nadzieję na możliwość przejawienia siły i zastosowania sankcji karnych wobec gwałcicieli porządku publicznego i podstawowych praw Konstytucji.

Zgłaszane przeze mnie kolejne rezygnacje przyjmowane nie były dla względów utrzymania równowagi w obsadzie resortów przez kandydatów Prezydenta i Naczelnego Wodza wojsk. Ustąpienie moje musiałoby być równoznaczne z

oddaniem teki kandydatowi sprzyjającemu - dla złudnych poglądów wojskowości pozyskania w ten sposób przyszłych oficerów rezerwy - reakcyjnemu, ultranacjonalistycznemu ruchowi młodzieży akademickiej. Pisząc te słowa, uważam za wskazane, aby historycy tego okresu zapoznali się - o ile znalezione będą odpowiednie dokumenty - z rzeczywistym stanem rzeczy, gdyż nie chcę występować w roli obrońcy mego postępowania, a zachowanie całkowitego obiektywizmu w ocenie sytuacji, gdy jest się współudziałowcem zdarzeń, jest prawie niemożliwe. Kończąc ten ustęp, podkreślę, że osobiście uważałem za konieczne wprowadzenie policji lub wojska do tych uczelni, w których popełniano gwałty, bezprawia, raniono nawet studentów-Żydów, a raz jeden popełniono zabójstwo bezbronnego, biednego i nie nastrojonego bojowniczo Żyda. Wszelkie moje starania i interwencje, aby wykryć i ująć zabójcę spełzły na niczym, chociaż przekonany byłem, że jego ujawnienie było możliwe.

Bójki studentów Polaków z Niemcami było sprowokowane przez hitlerowców. Tak samo hitlerowcy prowokowali inne zajścia na pograniczu Polski z Niemcami. Rzecz prosta wszelkie ślady prowokacji i polityki wywoływania starć pomiędzy Polakami i mniejszościami narodowymi zostały zatarte w czasie okupacji niemieckiej.